

P O Z N A Ń S K I

www.pegaz.media.pl



# PEGAZ

FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA 46/2000



www.  
pegaz.  
media.pl

# Zostać negocjatorem?

Trzeba się pogodzić z tym, że każdy z dzisiejszych absolwentów będzie zmieniał pracę i nawet zawód co najmniej kilka razy w życiu. Co więcej, niewykluczone że będzie musiał uczyć się nowego zawodu, takiego, którego nazwę dzisiaj zaczynają być przyswajane w powszechnej świadomości.

Do takich nowych zawodów należy zawód negocjatora, czy mediatora. Żeby była jasność – mediator działa w sytuacji konfliktu, negocjator – w „pokojowej”, na przykład w biznesowych rokowaniach. Za rok pierwsi licencjonowani negocjatorzy zakończą studia w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych w Poznaniu, która jako pierwsza w kraju podjęła się tego unikatowego nauczania. Do prowadzenia zajęć poproszono zarówno specjalistów psychologii, jak i znawców prawa i biznesu. Wszelkie rozmowy bowiem toczą się nie tylko w znanych od prawników emocjach, ale także w konkretnych warunkach ekonomicznych i społecznych.

Doświadczony negocjator przy wybuchu dużych konfliktów musi na przykład wiedzieć, w jakim zakresie i kiedy może w naszym kraju interweniować policja. Trzeba też orientować się w zagadnieniach prawnych i finansowych. Jeden z naszych negocjatorów został poproszony o konsultację w trakcie układów o sponsoring – mówi prof. Michał Iwaszkiewicz rektor WSUS. – Udało mu się wynegocjować niezwykle korzystne warunki i to tak, że obydwie strony były bardzo zadowolone. Stało się to dzięki znajomości realiów ekonomicznych.



**Prof. Michał Iwaszkiewicz  
WSUS**

W warunkach gospodarki rynkowej właściwie wszystko trzeba negocjować, dlatego sądzę, że zawód ten będzie coraz bardziej pożądany. W naszej szkole kładziemy duży nacisk na praktyczne przygotowanie do pracy. W tym roku przyjeżdża np. z wykładem Dągmir Długosz, dyrektor departamentu monitorowania reform, współautor pierwszego polskiego podręcznika o negocjacjach społecznych. Spodziewamy się interesujących analiz trudności w negocjacjach z rolnikami, górnikami czy pielęgniarkami.



## W jakich zawodach umiejętności mediacyjne są szczególnie potrzebne?

- policjant
- nauczyciel
- biznesmen
- wojskowy
- działacz samorządowy

## Metody obrony przed manipulacją

- **peknęta płyta** - konsekwentne i uporczywe powtarzanie pewnych treści
- **zasłona z mgły** - zgadzanie się z bezzasadną krytyką, co wytrąca przeciwnikowi broń z ręki
- **prośba o krytykę** - wyprzedza i łagodzi krytyczne zarzuty przeciwnika
- **przyznanie się do błędu** - natychmiast obniża temperaturę dyskusji, dając nam przewagę nad przeciwnikiem

Wyższe Szkoły Umiejętności Społecznych

ul Norwida 14, 60 - 867 Poznań

tel. (061) 848 42 98, 848 43 00, [www.wsus.poznan.pl](http://www.wsus.poznan.pl)

## FINANSE

Banki s.2

## KOMUNIKACJA SPOŁECZNA

W kręgu agentów s.3

Pierwszy krzyk s.20

Kopią w samorządność s.24

Jest we mnie coś z Vermeera s.36

Młode wilki w starym stylu s.44

## KULTURA

Smoki na golasa s.6

Aktywność i poziom... s.14

Bretania w Poznaniu s.16

Natchnieni w deszczu s.24

Czuję puls Wielkopolski s.30

Malta 2000 s.48

Recenzje książek i premier teatralnych s.13, 19,  
28, 29, 33, 34, 38, 46, 47

## TURYSTYKA s.10

# Kanikuła za pasem

Po prostu, idą. W naukach społecznych i w kulturze, jak wszędzie, odczuwa się na plecach gorący oddech nadchodzących wakacji. Jeszcze kilka skwarnych dni, trochę świąt, w które wakacyjne przedproże osobiście obfituje i można planować włóczęgi po górskich szczytach albo długie spacery morskim brzegiem. W pełnym słońcu trudniej i ciężiej się myśli. Mimo to postanowiliśmy P.T. czytelnikom poddać pod rozwagę zagadnienia tak trudne jak ochrona prawna twórców, perspektywy obcowania dzieci i młodzieży ze sztuką poza zinstytucjonalizowanym teatrem, zadumać się nad losami filharmonii i ruchu muzycznego, a nawet postraszyć, i to mocno, torturami, jakich ludzkość na przestrzeni dziejów nie szczędziła bliznim.

Jest też w „Pegazie” sporo książek, które warto i które trzeba przeczytać. Przecież nawet w największym skwarze książka okazać się może najlepszym przyjacielem człowieka.

Redakcja naszego periodyku czas kanikuły spędzi pracowicie. Roszcząc sobie pewne prawa do bycia za pan brat z innymi formami przekazu, postanowiliśmy w znacznej mierze przestawić się na obecność w internecie i już w kolejnym numerze będziemy mogli powitać nie tylko P.T. Czytelników i ale o P.T. Internautów. Do zobaczenia po wakacjach!

## FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA

OŚRODEK  
BADANIA  
RYNKU



REDAKCJA UL. ZWIERZYŃIECKA 13, 60-813 POZNAŃ  
TEL. 848 30 34/35, FAX 848 31 57  
[www.pegaz.media.pl](http://www.pegaz.media.pl)

REDAGUJE ZESPÓŁ: TOMASZ DYMACZEWSKI (red. nacz.) AGATA SOBASZEK, WIKTOR SOBCZAK (sek. red.) AGATA SZESKA, IWONA ŻYCHOWSKA,

STAŁE WSPÓŁPRACUJE: DARIUSZ ŁUKASIEWICZ

OPR. GRAF. ORNATUS, TEL. 0501 032 920

DRUK I OPRAWA: POSPRESS, POZNAŃ, UL. ŚW. ANTONIEGO 24

WYDAWCA: OŚRODEK BADANIA RYNKU

DYR. ANDRZEJ IWASZKIEWICZ  
NR KONTA: BIG BANK S.A. O/POZNAŃ  
115011202-48236001

ISSN 1232-3292 (R) (C) POZNAŃ 2000, WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE NR INDEKSU 468



# NBP

Narodowy Bank Polski

Narodowy Bank Polski Oddział Okręgowy w Poznaniu  
ul. K. Marcinkowskiego 12  
tel. 851 42 00, fax 852 93 06, 852 37 88



**WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA**

**I Oddział Regionalny w Poznaniu**

Wielkopolski Bank Kredytowy SA, pl. Wolności 10, 60-607 Poznań  
tel. (61) 535-45 69 fax (61) 535 87 71 adres e-mailowy [info@wkb.pl](mailto:info@wkb.pl)



# W kręgu agentów

Rozmowa z Tomaszem Naganowskim – profesorem wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych, dyrektorem generalnym Stowarzyszenia Radia Publicznego w Polsce.

**Panie dyrektorze, od lat zajmuje się Pan między innymi kulturą w szerokim tego słowa znaczeniu. Na ile zmienił się w Polsce system sprzedawania usług kulturalnych i czy ta działalność ma pełne zabezpieczenie prawne?**

Istnieją przepisy prawne, które dość skutecznie chronią każdego autora czy wykonawcę, dziennikarza czy naukowca w Polsce. Jednakże pragnąłbym podkreślić, iż świadomość prawna w naszym kraju jest bardzo niska. Nie inaczej jest ze świadomością twórców i artystów. Często nie zdają sobie oni sprawy z tego, że istnieją przepisy, które mogą pomóc w rozwiązaniu ich proble-

mów, a także w wyegzekwowaniu swoich praw. Nie znając przepisów, twórcy godzą się na zawieranie umów cywilnych dla nich niekorzystnych. Tak więc brak tej świadomości prawnej prowadzi do tego, że nie wiedzą oni, kiedy mogą egzekwować należne im prawa. Poza tym trzeba zauważyć, że u nas obsługa prawna w tym zakresie – czyli kancelarie prawne i agencje jest po prostu słabo rozwinięta. W Stanach Zjednoczonych doszło już do tego, że można tam mówić o przechyleniu szali w drugą stronę. Niektóre kancelarie wyszukują sytuacje, które naruszają dobra określonego uprawnionego, który ma nawet przypadkowy związek z działalnością kulturalną czy też jest mimowolnym uczestnikiem tej działalności. Dam przykład. W gazecie ukazuje się zdjęcie kłoszarda, które może być odebrane jako naruszenie jego tzw. wizerunku czyli - dóbr osobistych. Wówczas kancelaria prawna odnajduje kłoszarda i uzyskuje od niego zgodę na reprezentowanie go w sporze z gazetą, która naruszyła jego prawa. U nas takie sytuacje są nie do pomyślenia. Powiem więcej. Niektóre kancelarie nie do końca orientują się w przepisach zarówno prawa autorskiego jak i prawa prasowego. Nie mówiąc już o zdolnościach do prawidłowej interpretacji i stosowaniu innych przepisów, jak na przykład ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji. Stąd też wynika pilna potrzeba edukacji zarówno twórców i artystów, pracowników obsługi prawnej instytucji kultury a także pracowników wydawnictw czy też massmediów.

**Rzecz prosta, najlepiej by było, gdyby ta edukacja przybrała zorganizowane formy...**

Niestety, na razie trudno powiedzieć, by uczelnie dążyły do podjęcia tego kierunku kształcenia. Stara się to wprowadzić Uniwersytet Jagielloński. Ale poza Krakowem nie widać ośrodka akademickiego, który by był tym zainteresowany. Stąd zrodził się nasz poznański pomysł, aby w ramach kształcenia w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych powołać dwusemestralne studium podyplomowe, które nazwalismy: Prawa Własności Intelektualnej. I to w kontekście prawa autorskiego, wydawniczego, mediów i reklamy. Będą to studia dla osób, które chcą zdobyć wiedzę praktyczną, umiejętności poruszania



A. M. Woźniak



sie w sferze praw własności intelektualnej czyli głównie dla: pracowników prasy, radia i telewizji, wydawnictw, agencji reklamowych i autorskich, dla producentów, urzędników i radców prawnych, a więc dla wszystkich zainteresowanych.

**Na szczęście dla twórców, nie są oni obecnie pozbawieni swojej zorganizowanej reprezentacji. Istnieją przecież związki i organizacje, które przynajmniej z nazwy powinny ujmować się za twórcami...**

Rzeczywiście, istnieją organizacje zbiorowego zarządzania prawami autorskimi, jak na przykład ZAIKS oraz prawami pokrewnymi, jak ZASP, SAWP, STOART czy też ZPAV. To są organizacje powołane do ochrony praw autorskich i pokrewnych. Oprócz tego mamy w Polsce sporo stowarzyszeń twórczych, których jednym z podstawowych celów jest ochrona interesów swoich członków. Ale jaka jest ich efektywność, to już całkiem inna sprawa. Od dziesięciu lat nie zauważyłem, by wzrósł poziom działania stowarzyszeń. Ich członkowie nie widzą większego sensu utrzymywania tych stowarzyszeń.

Młodzi się też do nich nie garną.

Dlatego ich działalność tak bardzo kuleje.

Robiłem kilkakrotnie

wykłady dla Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Poznaniu.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że

zainteresowanie nimi było raczej umiar-

kowane. Wynika to z tego,

że twórcy nie chcą mieć

pełnej świadomości, co im się należy.

Zabiegają o każdego wydawcę, o na-

wet bylejakiego zleceniodawcę. I nie zamierzają

dochoǳić jakichkolwiek swoich praw, byle nie

podpaść, nie stracić okazji na druk. Potem prote-

stują.

**Nie będę specjalnie odkrywcy, gdy zauważę, że jest to sytuacja nieporównywalna z prawidłowościami za-uwazanymi w krajach o unormowanej sytuacji w dziedzinie świadczenia usług kulturalnych.**

Odpowiem trochę humorystycznie. W porządnym filmie sensacyjnym, gangster chodzi zawsze ze swoim prawnikiem. Ojciec chrzestny zawsze miał przy sobie prawnika. Ta zasada powinna obowiązywać także naszych wybitnych twórców kultury. Oni powinni mieć w zasięgu ręki swojego prawnika, który poprowadziłby ich sprawy. Wszystkie ważniejsze umowy powinny być sygnowane przez prawnika. A jeśli już artysta na własną rękę w umowie cywilnej godzi się na wszystko, to już jego sprawa i strata.

**Czy nie sądzi Pan, że owo godzenie się na wszystko wynika z ogólnej sytuacji i kondycji polskiej kultury? Reprezentacja prawna przecież kosztuje i to wcale niemało.**

Ma pan rację, tak jest w istocie. Jednakże dostrzegam symptomy poprawy sytuacji. Ot, choćby zmiany w ustawie o prawie autorskim z 9 czerwca bieżącego roku, prowadzą do pozytywnych wniosków. W jednym z paragrafów zapisano, iż pokrzywdzonym w rozumieniu naruszenia praw autorskich i artystycznych są organizacje reprezentujące twórców. Uzyskały one zatem prawo do raportowania do organów ścigania oraz do wystąpienia do sądu o ochronę dóbr artysty. Mam nadzieję, że organizacje zbiorowego zarządzania zatrudnią dobrych prawników i będą skutecznie egzekwować prawa swoich członków, a więc repertuaru, którym zarządzają. Sami twórcy dotychczas obawiali się wieloletnich procesów i nie wierzyli w ich skuteczność, obawiali się też wysokich kosztów.

**Jest pan zatem, mimo wszystko, optymistą. Wydaje się jednak, że do czasu aż**

**nie zaczniemy w**

**Polsce kształ-**

**cić wyspecja-**

**lizowanych**

**w działaniu**

**na rzecz**

**twórców**

**agentów,**

**trudno bę-**

**dzie oczeki-**

**wać, by sytu-**

**acja artystów ule-**

**gła poprawie.**

**Twórcy nie chcą mieć pełnej świadomości, co im się należy. Zabiegają o każdego wydawcę, o nawet bylejakiego zleceniodawcę. I nie zamierzają dochoǳić jakichkolwiek swoich praw, byle nie podpaść, nie stracić okazji na druk. Potem protestują.**

Nie przeczę tej tezie. Wykształcony agent powinien mieć dobre rozeznanie rynku. Po drugie musi być miłośnikiem tej dziedziny sztuki, której chce być agentem. Wówczas będzie miał właściwą motywację. Powinien posiadać wiedzę z zakresu prawa autorskiego, wydawniczego, mediów, zobowiązań, no i – reklamy. Musi znać przepisy z zakresu działalności gospodarczej i prawo finansowe. To wszystko wydaje się dość odległe sztuce, ale gdy zwazymy, że twórczość artystyczna na Zachodzie traktowana jest jako towar, będzie to łatwiejsze do pojęcia. U nas na razie twórczość ta traktowana jest jako coś wyższego. Ale byłbym za tym, żeby i w Polsce zacząć nazywać rzeczy po imieniu. Tym bardziej, gdy z tego mogą wynikać tylko pozytywne fakty.

**Dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiał: Wiktor SOB CZAK



Wynajęci komedianci czyli

# SMOKI NA GOLASA



Od pewnego czasu ten i ów mówił komu innemu, że „smoki” znów próbują, że przymierzają kostiumy, że do Tarnowa wszystko już gotowe. Kto nie znał sprawy, ten wzruszał ramionami, nie wiedząc, o co w gruncie rzeczy chodzi. Tymczasem rzecz cała okazała się ważna. Nie tylko dla dzieciaków, które zachwyciły się barwnym i zabawnym przedstawieniem. Również dla samych smoków, a właściwie dla aktorów, którzy wcieliili się w ich role, było to istotne doświadczenie. Mogli znów grać wobec wdzięcznej i nagradzającej ich aktorski trud widowni. O tym, jak doszło do przedstawień i jakie będą dalsze kolejki sympatycznego spektaklu, opowiada „Pegazowi” współtwórca „smoczego” spektaklu i jeden ze współinicjatorów całego przedsięwzięcia, Arnold Pujza.

**Premiera spektaklu odbyła się w Tarnowie Podgórny 3 czerwca. Ile spektakli jeszcze zaplanowano i gdzie do nich doszło?**

Mogę powiedzieć, że była to prawdziwie wielkopolska tura. Rozpoczęliśmy rzeczywiście w Tarnowie Podgórny 3 czerwca. W dzień później pojawiliśmy się w Poznaniu, na Placu Wolności. Potem jeszcze dwa spektakle: 11 czerwca w Opalenicy i 1 lipca w Wągrowcu. Planujemy potem występy w Pleszewie i Sierakowie.

**Jak dużą rolę odgrywa w przedstawieniu o smokach agencja? Bodaj też ściślej. „All. – Art.?”**

Zacznę może od tego, że rola agencji w całym przedsięwzięciu jest ogromna. Powiem też ściślej, pomysł wyszedł właśnie ze strony agencji. „All. – Artem” kieruje koleżanka, z którą znamy się bardzo dobrze, Katarzyna Niedzielska. Zaproponowała mi powrót do spektaklu, który kiedyś miał już swoją, krótką wprawdzie, jednak konkretną historię. Znając i doceniając działania pro-





dukcyjne i menedżerskie Kasi – i proponuję to potraktować jako informację handlową, nie reklamę – zgodziłem się bez większego wahania na taką propozycję.

**Czy mógłby pan wyjaśnić, co miał pan na myśli mówiąc, że spektakl miał już swoją konkretną historię?**

Kanwą, wokół której osnu- to obie wersje przedstawienia jest niezwykle zabawna i sympatyczna książka dla dzieci „Sceny z życia smoków”, którą napisała Beata Krupska. Przed niejakim czasem przygotowaliśmy oparty na książce spektakl dla potrzeb Centrum Kultury „Zamek”

**Czy był to spektakl podobny do tego, który odegraliście w Tarnowie Podgórnym?**

Tylko w ogólnych zarysach tamta inscenizacja przypominała obecną. Poza tym różniło się wszystko. Inne były kostiumy, odmienna obsada aktorska, także tło muzyczne i elementy choreografii były różne. Jednak był to ten sam pomysł i ten sam, co i dzisiaj adresat.

**Jak potoczyły się losy „zamkowego” spektaklu?**

Zagraliśmy go raptem sześć razy. Na tyle właśnie starczyło wytrwałości dyrekcji „Zamku”.

I...

I postanowiliśmy wrócić do pomysłu raz jeszcze. Złożyło się na to – to dla informacji pańskiej i czytelników „Pegaza” – kilka przyczyn. Pierwszą i najistotniejszą okazało się nasze przekonanie o potrzebie realizacji takiej właśnie formy teatralnej. Po prostu, spektakli przeznaczonych dla dzieci jest wciąż zbyt mało, zaś formuła „przyjścia” z przedstawieniem do widza, zwłaszcza do widza dziecięcego, to już niemal zupełny ewenement. Postanowiliśmy więc przetrześć szlaki.

**A inne przyczyny, które obiecał nam pan wyjawić?**

Grupa aktorów scen poznańskich, która zdecydowała się przyjąć na-



sze zaproszenie do obsadzenia „smoczych” ról dysponuje nadmiarem wolnego czasu. W swoich macierzystych teatrach, póki co nie jesteśmy wykorzystywani, postanowiliśmy więc poświęcić się czemuś nowemu.

**Mówi pan o niewykorzystaniu grupy poznańskich aktorów. Czy wiążą się z tym i pan nie jest na co dzień związany z Teatrem Polskim?**

Jeśli okres pół roku niezawinionej przez nas nieobecności na scenie można potraktować jako „na co dzień”, wobec tego w istocie jesteśmy na co dzień związani z Teatrem Polskim.

### **Czy jednak Teatr Polski nie jest aktualnie remontowany?**

Kiedy przestaliśmy grać, remontowany jeszcze nie był. Nie pora tu ani mijsce na to, by wchodzić głębiej w relacje pomiędzy nową dyrekcją a częścią zespołu, ani na ocenę sposobu, w jaki traktuje się teraz wszystko to, co dla teatru, dla przypomnienia jego pięknej i długiej historii zrobił dyrektor poprzedni. Powróćmy zatem do naszych smoków...

**Właśnie, proszę powiedzieć, jacy to aktorzy użyczyli swego talentu i cięta smokom występującym w spektaklu?**

Najpierw – nie tylko smokom. Na scenie pojawia się przecież Żaba, Krokodyl, Motyl Henio... A obok nich rzeczywiście sporo kolorowych i o różnicowanych charakterach smoków. Jak już wcześniej powiedzieliśmy, w spektaklu występują aktorzy scen poznańskich. Zaczę od par: Iwony Kotzur i Gizeli Bortel, która co jakiś czas grać będzie wymiennie z Lucyną Winkel. Obok nich męska część zespołu: Wojciech Deneka, Kuba Ulewicz i mówiący te słowa, który jest jednocześnie adaptatorem i reżyserem przedstawienia. Aby obraz był pełen dodać muszę, że napisałem także niektóre z piosenek, a muzyka i

śpiew odgrywa w „Opowieściach ze smoczego lasu” – bo taki tytuł nosi nasz spektakl – bardzo ważną rolę

**Kogo jeszcze wymienią pan w gronie tych, którzy przygotowali przedstawienie a na scenie się nie pojawiają?**

To liczna grupa życiowych i przychylnych smokom ludzi. Muzycznie przygotowali przedstawienie: Agata Witt i Andrzej Borowski, choreograficznie – Małgorzata Herkt. Na szczególne wyróżnienie i uznanie zasługują ci, którzy przyczynili się do powstania kostiumów i to od fazy projektu aż do ostatecznego wykonania. Chciałbym tu gorąco podziękować Arkowi Gacparskiemu i zespołowi pod kierunkiem Grzegorza Fijałkowskiego.

**Zebrałście państwo już pewne doświadczenia wynikłe z realizacji dla dziecięcej widowni. Jak wypada w waszej opinii spektakl, który gracie teraz?**

Rzeczywiście, mamy już pewne doświadczenie w realizacjach dla dzieci. Tym razem jednak zaskoczyło nas sporo rzeczy, z którymi się dotąd nie zetknęliśmy. Ograniczona powierzchnia sceniczna i widownia, która

znajduje się tak blisko, nieomal na naszych nosach. Do tego dochodzi jeszcze akustyka – konieczność pracy z mikrofonami co w codzienności teatralnej jest raczej rzadkością.

**A jak gra się dla dziecięcej widowni? Czyż nie jest bardziej wymagająca?**

Może to będzie zaskakujące stwierdzenie, lecz osobiście nie odczuwam różnicy pomiędzy grą dla dzieci i dla dorosłych. Zapewne – widz dziecięcy jest bardzo spostrzegawczy i emocjonalnie identyfikuje się z tym, co dzieje się na scenie. Z drugiej jednak strony taką widownię łatwiej aktorowi manipulować. Ma to i swoje dobre strony, gdyż dzieci właśnie najłatwiej „nauczyć” teatru, jego form, tchnąć w nie jego ducha choćby poprzez proponowanie im udziału w spektaklu. Tego rzecz jasna w „smoczym” spektaklu robić nie możemy z uwagi na specyfikę inscenizacji plenerowej w trakcie której trudniej zachować dyscyplinę.

**Czyżby widzowie za wszelką cenę chcieli znaleźć się na scenie?**

Nie, to nie tak. Przeszkodą, z którą musimy się zmagać jest brak rzeczy w teatrze oczywiście – kulis. Aktor, który nie może się przed widownią ukryć po to, by zaczerpnąć na chwilę oddechu,





wyciszyć się, albo po prostu, zmienić kostium czuje się w jakiś sposób bezradny, obnażony. Z tym problemem trzeba sobie poradzić.

**I przebieraliście się państwo na oczach widowni, która wierzyła w smoki, w ich materialność?**

Popelnia pan grzech dorosłego myślenia. Dzieci podchodzą do tego emocjonalnie, co nie znaczy, że wbrew swoiście pojmowanej logice. Jeśli wierzą w cielesną obecność na scenie, to kiedy aktor się w ich obecności przebiera to stwierdzają, że smok jest na golasa a za chwilę zmienia się w inną postać i to jest naturalne. Aktor w momencie przebierania się wychodzi z tego dziwnego świata i za chwilę znów do niego wchodzi, ale jako ktoś zupełnie inny. Jak pan widzi, ta pełnowartościowa sytuacja ma też swoje plusy...

**Wróćmy jeszcze na chwilę do doświadczeń wypływających z dotychczasowych spektakli...**

Po pierwszym występie dokonaliśmy pewnych skrótów w „Opowieściach ze smoczego lasu”. Po prostu: przedstawienie zostało odegrane i przyniosło pewną sumę doświadczeń. Jednym z nich okazał się czas jego trwania. Podobnie rzecz się miała ze stosowaniem mikroportów. Nabraliśmy też doświadczeń w innej mierze. Nasza propozycja, której nie traktujemy komercyjnie, bo przyświecają nam inne cele, została tak wła-

śnie odebrana przez lokalne władze. Ot, wynajęci komedianci przyjechali po to, by trochę pochatużyć, a dzieci miały radość. Z radością dzieci zgoda, reszta wygląda jednak inaczej. Pragnęlibyśmy, aby nasze pomysły i propozycje traktowane były w zgodzie z pobudkami, które nami kierują a więc rozpatrywane pod kątem radości, ale i wymiernych korzyści, jakie dla dzieci i młodzieży wypływają z obcowania z kulturą. Nie chcielibyśmy poprzestać na tym jednym spektaklu i dlatego siadamy teraz i myślimy nad innymi formami działań, które moglibyśmy realizować i odnaleźć w nich swoje miejsce.

**Życząc tego panu i całemu zespołowi dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiał:  
Tomasz  
DYMACEWSKI



# KARPACZ ZAPRASZA!

Karpacz - malowniczo położona u stóp Śnieżki (1602 m n.p.m.) miejscowość turystyczno-wypoczynkowa w Karkonoszach. Dzięki łagodnemu klimatowi sezon turystyczny trwa tu przez cały rok. Miasto o wybitnie turystycznym charakterze położone jest w granicach Karkonoskiego Parku Narodowego.

W Karpaczu i jego najbliższej okolicy początkujący i zaawansowani narciarze mają do dyspozycji wiele wyciągów orczykowych o różnym stopniu trudności.

Kompleks wyciągów miejskich w obrębie Kopy obejmuje oprócz wyciągu krzesełkowego dwa nowowyprowadzone wyciągi orczykowe o długości 600 oraz 1200 m.

Przez cały rok na odwiedzających Karpacz czekają piękne trasy turystyczne, szlaki górskie oraz trasy spacerowe. Gościom naszych pensjonatów, chcącym uprawiać kwalifikowaną turystykę górską, wspinaczkę skałkową, uczestniczyć w „szkole przetrwania” lub nauczyć się jazdy na nartach zapewniamy opiekę doświadczonych instruktorów

Pensjonat „Na Stoku” i „Poręba” położone są w oddalonej od centrum miasta o ok. 700 m dzielnicy Karpacza „Skalne Osiedle”. Obiekty te przyjmują gości przez cały rok, oferując pokoje dwu- i trzyosobowe z łazienkami (kabina prysznicowa, W.C, umywalka) oraz apartamenty w „Porębie”. Wyżywienie obejmuje dwa posiłki tzw. HP tj. śniadanie i gośca kolacja.

100 m - basen kryty i otwarty  
70 m - Klub Country  
15 min. - Miasteczko Western  
City

*Zapraszamy  
do spędzania  
wypoczynku  
w Naszych  
Pensjonatach!*



*Pensjonat „Na Stoku”*  
Pensjonat „Na Stoku”  
58-540 Karpacz  
ul. Skalna 4  
tel. 075/ 761 81 90  
tel./fax 075/ 761 98 21



# Tam, gdzie dojrzewa śliwowica

Czy byli już państwo we Włoszech, w Hiszpanii i w Grecji? Jeśli tak, to zapraszamy do kraju, który od kilku lat staje się znów niezwykle atrakcyjnym dla turystów.

Jest po prostu inny. Nie ma tu szerokich piaszczystych plaż i typowego dla większości krajów śródziemnomorskich krajobrazu w kolorze spalonej od słońca roślinności.

Są za to kuszące zatoczki morskie, przepiękne wyspy, urwiste brzegi, kryształowo czysta woda, przepiękna roślinność, a w głębi łądu czekają na turystów parki narodowe z niepowtarzalnymi cudami przyrody.

Mowa tu oczywiście o Chorwacji – kraju, który po wielu latach wojny i przekształceń znów staje się perłą śródziemnomorską.

Proponując Państwu wypoczynek w tym niezwykłym kraju, wybraliśmy miejsca, które najlepiej oddają jego urok i odmienność zarówno kulturową, jak przyrodniczą.

Jednym z tych miejsc jest półwysep Istria w północno – zachodniej części Chorwacji. Znajdą tu Państwo nieliczne w tym regionie piaszczyste plaże, zielone wysepki i wiele zabytków których historia sięga okresu Imperium Rzymskiego w II i I wieku p.n.e

Półwysep charakteryzuje się łagodnym klimatem śródziemnomorskim, co sprzyja wspaniałej roślinności, i świetnymi warunkami biometeorologicznymi przez cały sezon letni.

Na zachodnim wybrzeżu Istrii leży miasteczko Rovinj – niegdyś największe miasto tego regionu i port dla floty weneckiej. Nad miastem góruje wieża o wysokości ponad 50 metrów, która jest częścią barokowej katedry św. Eufemii.

Innym miejscem, do którego Państwa gorąco zapraszamy jest północna część Dalmacji. Jest to najatrakcyjniejsza część wybrzeża Chorwacji. Niepowtarzalne widoki, dziesiątki malowniczych wysepek, bujna roślinność, zabytki i niepowtarzalny klimat to zalety, które jedynie w małej części opisują, to, co zobaczą Państwo na miejscu. Wieczorami warto zejść do tawerny i bawić się w takt muzyki ludowej kosztując specjalny kuchni chorwackiej

Głównym ośrodkiem tego regionu jest Zadar – miasto kontrastów, które ukazują jego burzliwą historię. Dla turystów miasto oferuje zagospodarowane plaże, kąpieliska, a także oraz świetnie rozwiniętą infrastrukturę turystyczną.

Dla turystów zmotoryzowanych proponujemy spędzenie lata na wyspach Rab i Pag.

Wyspa Rab uważana jest za jedną z najpiękniejszych wysp Adriatyku, na którą można się do-

stać promem. Przeprawa trwa 15 – 20 minut.

Wyspę porastają gaje oliwne, drzewa pomarańczowe, figowce, a także winorośl, która jest surowcem do wytwarzania jedyne w swoim rodzaju wina „zuti-ca”

Wyspa ta należy do najbardziej nasłonecznionych miejsc w Europie. Znajdą tu Państwo świetne warunki do uprawiania surfingu, żeglownia i nurkowania.

Wyspa Pag połączona jest z kontynentem mostem. Jest to najmniej zaludniona wyspa w Chorwacji oraz najdalej na południe wysunięta wyspa spośród wysp Kvarnerskich. Głównym

ośrodkiem wyspy jest miasteczko Pag, które słynie z przepięknego położenia nad zatoką morską. Miejscowe wioski znane są z wyrobu wyśmienitego sera i wina, które wytwarza się z rosnącej tu winorośli.

Lecz Chorwacja to nie tylko morze, ośrodki wypoczynkowe i plaże.

Turystów, którzy chcieliby aktywnie zwiedzić Chorwację zapraszamy na wycieczkę objazdową trwającą 11 dni, której trasa wiedzie przez Ploče, Zadar, Sibenik, Trogir, Split, Medjugorje, Dubrovnik, Plitvice i Zagrzeb. Jak widać mają Państwo szansę zobaczyć wszystko co najpiękniejsze w Chorwacji korzystając z fachowej obsługi pilota i przewodników. Z informacji praktycznych warto wspomnieć o warunkach jakie Państwo muszą spełnić jadąc do Chorwacji. Paszport musi być ważny co najmniej trzy miesiące (wizy nie są wymagane), jako walutę warto wziąć marki niemieckie lub dolary amerykańskie i na miejscu wymienić na kuny chorwackie (przelicznik: 1 USD = ok. 6,6 HRK, 1 DEM = 3,6 HRK). Czas miejscowy nie różni się od czasu w Polsce. W Chorwacji można się bez trudu porozumieć po angielsku i niemiecku. Na miejscu należy opłacić takse klimatyczną, która obowiązuje wszystkich turystów. Na plażach zwirowo – kamienistych niezbędne są materace dmuchane i kłapki. Przeprawa promowa na wyspę Rab kosztuje około 5 DEM/os. i około 20 DEM za samochód do 4 metrów długości (za minibus – około 40 DEM).



**ITAKA**  
Roma Tour

**Biuro Podróży**  
61-827 Poznań  
ul. Szkolna 13  
tel. (061) 85 17 368,  
85 17 369  
fax (061) 85 23 370



# PRZEDSIORAC **Michałówka**

Komfortowy pensjonat "Michałówka" na południowym stoku Gubałowska z widakiem na całą panoramę Tatr



34-511 Kościelisko-Zakopane ul. Salomona 12  
 tel./fax (118) 20 113 28, tel/kom. 0 602 458 885

**aktualny cennik - <http://www.michalowka.pl>**

## **PAŁAC GĘBICE**

**HOTEL RESTAURACJA**

*Polecamy kompleksową organizację  
 ślubów, konferencji, spotkań biznesowych,  
 ognisk, bankietów*

Nasze  
 oferty to:  
 doskonała  
 kuchnia,  
 niepowtarzalna  
 atmosfera,  
 piękne zaprawy  
 głośno stałych  
 krajowców  
 i zagranicznych



**PAŁAC GĘBICE**  
 ul. S. 25, gm. Pąpowa  
 woj. łódzkie - Łódź  
 tel./fax (42) 523 61 50

# Okruchy dobrego zwierciadła

Wieloletni doświadczenia w pracy w różnych instytucjach publicznych i prywatnych, w tym w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pozwoliły mi na obserwację wielu zjawisk i procesów, które kształtują kulturę i życie społeczne w Polsce. W tym kontekście chciałbym przedstawić kilka refleksji na temat roli sztuki i kultury w społeczeństwie, które są dla mnie niezwykle ważne.

Wieloletni doświadczenia w pracy w różnych instytucjach publicznych i prywatnych, w tym w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pozwoliły mi na obserwację wielu zjawisk i procesów, które kształtują kulturę i życie społeczne w Polsce. W tym kontekście chciałbym przedstawić kilka refleksji na temat roli sztuki i kultury w społeczeństwie, które są dla mnie niezwykle ważne.



Wieloletni doświadczenia w pracy w różnych instytucjach publicznych i prywatnych, w tym w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pozwoliły mi na obserwację wielu zjawisk i procesów, które kształtują kulturę i życie społeczne w Polsce. W tym kontekście chciałbym przedstawić kilka refleksji na temat roli sztuki i kultury w społeczeństwie, które są dla mnie niezwykle ważne.

Wieloletni doświadczenia w pracy w różnych instytucjach publicznych i prywatnych, w tym w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pozwoliły mi na obserwację wielu zjawisk i procesów, które kształtują kulturę i życie społeczne w Polsce. W tym kontekście chciałbym przedstawić kilka refleksji na temat roli sztuki i kultury w społeczeństwie, które są dla mnie niezwykle ważne.

**HOTEL**  
*Chmura*  
APARTAMENTY

Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.

Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.  
Wspaniałe widoki z terasu - mebli.

Wieloletni doświadczenia w pracy w różnych instytucjach publicznych i prywatnych, w tym w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pozwoliły mi na obserwację wielu zjawisk i procesów, które kształtują kulturę i życie społeczne w Polsce. W tym kontekście chciałbym przedstawić kilka refleksji na temat roli sztuki i kultury w społeczeństwie, które są dla mnie niezwykle ważne.



Jose Maria Florencio Junior  
- brazylijski muzyk wykształcony  
jako kompozytor i dyrygent, od  
kilku lat związany z Polską obec-  
nie dyrektor Filharmonii Poznań-  
skiej specjalnie dla „Pegaza”.

# Aktywność i poziom naszą bronią

**Filharmonia Poznańska powstała w 1947 roku. Które z etapów jej historii były najważniejsze dla tej instytucji?**

Na pewno bardzo ważny był czas tworzenia się orkiestry za dyrektora Tadeusza Szeligowskiego. Dziś nasza instytucja nosi imię tego znakomitego muzyka i kompozytora. Początki Filharmonii są bardzo miło wspomniane przez środowisko poznańskich muzyków. Okres dyrektorowania Jerzego Katlewicza i Roberta Satanowskiego był również bardzo obfitujący w wydarzenia. Za rządów Roberta Satanowskiego powstał cykl „Koncertów Poznańskich”. Dzisiaj odbywają się raz w miesiącu i cieszą się olbrzymią popularnością. Wielu melomanów specjalnie na te koncerty wykupiło abonament. Kiedy śledzę historię Filharmonii to uświadamiam sobie, że instytucja ta przeżywała raz lepsze innym razem gorsze okresy jednak każdy z kolejnych dyrektorów miał wpływ na jej dzisiejszy kształt.

**Którzy z muzyków związani z Filharmonią są Pańskim zdaniem najważniejsi?**

Filharmonia zrzesza wielu wybitnych muzyków, są oni odznaczeni za zasługi i pracę na rzecz kultury. Trudno jest mi jednak przytaczać nazwiska, gdyż jestem dyrektorem dopiero od półtora roku i wymieniając mógłbym kogoś pominąć.

**Jakie są najważniejsze formy działalności Filharmonii?**

Od wielu lat naszą chlubą jest chłopięco - męski Chór Stefana Stulgrosza. Do Filharmonii należy również biuro koncertowe organizujące koncerty muzyki kameralnej i promujące muzyką po całym województwie. Ilość tych koncertów jest naprawdę imponująca bo w zeszłym roku szkolnym odbyło się ich ponad siedemset.



**Filharmonia  
poznańska**  
im. Tadeusza Szeligowskiego

**Od lat Filharmonia organizuje także koncerty w ramach ProSinfoniki...**

Ruch ten powstał za rządów dyrektora Alojzego Andrzeja Łuczaka i istnieje już ponad trzydzieści lat. Przez cały czas docierał do dzieci i młodzieży w różnym wieku. ProSinfonika ma swój własny sposób przekazywania wiedzy o muzyce. Dzisiaj jest o wiele trudniej zainteresować dzieci muzyką klasyczną niż kiedyś, ponieważ młodzież ma do wyboru wiele atrakcyjnych form spędzenia czasu np.: komputer, video, kino czy coraz to bogatszy program TV. Ale pomimo takiej konkurencji ruch ProSinfonika jest nadal tak liczny jak przed laty. Obecnie skupia kilkutyśięczną rzeszę dzieci i młodzieży, która regularnie uczęszcza na koncerty. Muszę przyznać, że to jedyny taki ruch w Polsce. Nie spotkałem się również z drugim tak dobrze zorganizowanym ruchem na świecie.



My nie tylko przygotowujemy młodzież do odbioru muzyki, ale i też kształtujemy lepszego obywatela.

**Ważnym wydarzeniem sezonowym jest również Poznańska Wiosna Muzyczna...**

Impreza ta przez wiele lat była organizowana przez Związek Kompozytorów Polskich i Towarzystwo im. Henryka Wieniawskiego. Obecnie przygotowaniem jej zajęła się Filharmonia Poznańska Wiosna Muzyczna powróciła pod zmienioną formułą. Nie był to już tylko klasyczny festiwal, oprócz koncertów odbywały się także spotkania okolofestiwalowe. Podczas trwania Poznańskiej Wiosny Muzycznej nie tylko promowaliśmy poznańską twórczość muzyczną ale staraliśmy się też przedstawić ogólnosiwiatowe kierunki muzyki XX wieku.

**Jakie imprezy cykliczne organizowane są przez Filharmonię?**

Co tydzień odbywają się koncerty symfoniczne. Organizujemy również występy chóru. Do cyklicznych imprez zaliczyć też można wspomniane już Koncerty Poznańskie. Co jakiś czas odbywają się także koncerty nadzwyczajne, pojawiają się na nich wielkie światowe nazwiska i przedstawiciele szczególnych nurtów muzycznych. Mamy też plany, by wprowadzić nowe formy festiwalowe. Nie chciałbym ujawniać szczegółów przed realizacją. Reasumując – aktywność, różnorodność form i poziom artystyczny są naszą bronią.

**Jak trafił Pan do Filharmonii Poznańskiej?**



Po moim dyplomie zostałem dyrygentem Teatru Wielkiego w Łodzi. Następnie wspólnie z dyrektorem Sławomirem Pietrasem pracowaliśmy w Operze Wrocławskiej. Później zostałem dyrektorem naczelnym i artystycznym Orkiestry Polskiego Radia w Krakowie. W tym samym czasie współpracowałem również z Teatrem Wielkim w Warszawie. Pewnego dnia wraz z dyr. Pietrasem przyjechaliśmy do Poznania by pracować w Teatrze Wielkim. Po kilku latach władze Poznania zaproponowały mi objęcie stanowiska dyrektora w Filharmonii Poznańskiej. Zgodziłem się i już drugi sezon kieruję tą instytucją.

*Rozmawiała: Agata SZESKA*





# Bretania w Poznaniu

**Kiedy 1991 roku do wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Poznaniu dotarł list intencyjny z Domu Kultury Villejean w Rennes w sprawie nawiązania współpracy między Wielkopolską a Bretanią, nikt z późniejszych zainteresowanych nie spodziewał się, że więź polsko-francuska zatoczy szerokie kręgi i rozwinie się na dobre w wielu dziedzinach sztuki. Wybrańcem władz miasta został Osiedlowy Dom Kultury Biblioteki Raczyńskich pod Lipami pod silnym i konsekwentnym kierownictwem Elżbiety Bednarek. I tak się zaczęło.**

Latem 1992 przyjechała do Poznania pierwsza grupa 35 Francuzów, którzy kwaterując u polskich rodzin spędzali swój wolny czas poznając stolicę Wielkopolski, jej struktury samorządowe, zabytki i atrakcje turystyczno-kulturalne. W rok później grupa poznańska udała się w podobną podróż do Rennes gdzie podziwiano francuskie walory krajobrazu, szlifowano język i nawiązywano nowe kontakty. Wymina taka trwała na przemienne aż do ubiegłego roku kiedy to nastąpił absolutny przełom.

Z inicjatywy szefowej Domu Kultury „Pod Lipami” dyrektora Domu Kultury Villejean w Rennes władz miasta Poznania oraz merostwa Rennes rozszerzono zakres współpracy z typowo rodzinnej do rodzinno-kulturalnej czego wyrazem stały się ubiegłoroczne dni kultury polskiej w Rennes. Reprezentowali

je: wiceprezydent miasta Poznania Maciej Frankiewicz, poznański chór Fermata pod dyrykcją Mateusza Sybalskiego, grupa Czerwony Tulipan. Odbłyły się również dwie dodatkowe imprezy. Wystawa prac plastycznych autorstwa Sławki Chorążyczewskiej raz specjalna projekcja filmu Jana Jakuba Kolskiego „Jancio Wodnik”. Sympatyczny dodatek stanowiły dania kuchni polskiej przygotowywane w postaci polskiego żurku, kaszy gryczanej ze zrazem, sałatki z ogórków kiszonych. Wracając do Poznania zbierano już pomysły na ugoszczenie artystów z Bretanii w Polsce w 2000 roku. I tak też się stało nie bez udziału szerokiej i hojnej grupy przyjaciół ODK „Pod Lipami”, takich jak: Zagroda Bąmberska, restauracja „U Garniewiczów”, restauracja „Andrusza”, Hochland Polska, Browary Okocim, sklep MAGA.

W dniach 4-10 kwietnia tego roku już po raz dziewiąty doszło do spotkania Polaków i Francuzów. Tym razem w ramach dni Kultury Bretońskiej w Domu Kultury „Po Lipami”

## Dzień pierwszy - Wieczór w zagrodzie Bąmberskiej

Tego dnia zarówno gospodarze jak i zaproszeni goście spędzili pierwszy, wspólny wieczór w Zagrodzie Bąmberskiej przy ulicy Kościelnej 43 gdzie delectowano podniebienia doskonale przygotowany-





mi potrawami tradycyjnej kuchni wielkopolskiej. Na stole znalazły się między innymi barszcz czerwony, gęś nadziewana z kopytkami, golonka z grochem i kapustą oraz placek drożdżowy z kruszonką i obowiązkowe sznki z glancem. Atmosferę umilał repertuar świetnej francuskiej grupy jazzowej BBC Quarter z Rennes, której członkowie spotykając się regularnie raz w tygodniu realizują wspólną pasję tworzenia i grania w klubie jazzowym „Ferne de la Harpe”. W trakcie trwania imprezy kucharze „Zagrody” suto zastawiali stoły drewnianymi deskami pełnymi kaszanek, smalcu, salcesonów i wątrobianek. Konsumpcja, rozmowy i tańce trwały do późnych godzin nocnych.

## Dzień drugi - Wernisaż artystów z Bretanii

Punktualnie o godzinie 19.00 odbyła się uroczysta inauguracja Dni Kultury Bretońskiej w Domu Kultury „Pod Lipami”, na którą przybyli wiceprezydent miasta Poznania Maciej Frankiewicz, przedstawiciele kultury, rodziny związane z klubem przyjaciół Bretanii „Ca Va”, Claude Schopp - dyrektor Domu Kultury Villejean, bretońscy artyści i wspierający kucharz 28-letni Bruno Rimasson, który okazał się największą gwiazdą tego i kolejnych dni.

Po uroczystym otwarciu lampką czerwonego, francuskiego wina podziwialiśmy doskonale prace trójki artystów z Rennes, którzy zaprezentowali swoje fotografie w ramach wernisażu wystawy zatytułowanej „Regards Croises” (Krzyżujące się spojrzenia).

Marie - Laure Gue'gan mieszkająca i tworząca w Rennes wypowiadała się na tematy takie jak śmierć, czy sacrum i opiera się w swej twórczości na fotografii, malarstwie i instalacjach. My mieliśmy okazję podziwiać jej świetne zdjęcia w cyklu zatytułowanym „Chmury”. Pełne wrażliwości i liryzmu poszukujące według samej autorki aniołki bądź aniołów. Ujmujący jest przy tym tekst na płótnie jej autorstwa:

*Głos anioła: To zawieszenie między słowem a ciałem, na które odpowiedź jest westchnieniem*  
Eric le Verge'a, mieszkający i pracujący w Quimper tworzy kompozycje fotograficzne koncentrując się na wydarzeniach rzeczywistych i wykorzystując techniki video, fotografii i multimedii. Prezentowane prace to cykl pt. „Przemiany” oraz fotografie

naklejone na aluminium zatytułowane „Oczekiwanie” i „Śniedz”

Trzeci z artystów - Jacques Domeau porusza tematy związane z ciałem, tożsamością, pamięcią. Wykonuje w Rennes wizualno- dźwiękowe instalacje umieszczone w różnych miejscach publicznych. To co zaprezentował w Domu Kultury „Pod Lipami” to między innymi jedna kolorowa praca wykonana w technice mieszanej na aluminium zatytułowana „Krzyżujące się spojrzenia”.

Prace całej trójki artystów różnią się formą, spojrzeniem na świat i jednostkę, nie mniej łączy je na pewno ten sam poziom wrażliwości artystycznej, liryzmu, subtelności oraz poszukiwania tego co w nas jeszcze nieodgadnione.

Dopelnienie części artystycznej to spektakl składający się z trzech etiud wykonanych przez dwójkę tancerzy z Grupy Tańca Współczesnego „MUSIQUE A MAINS LEVEES”. Byli to - Pedro Rosa oraz Laititia Lanoe.

Prawdziwą niespodziankę sprawił wszystkim zaproszonym również Bruno Rimasson przygotowując świetnie skomponowane, lekkie, kolorowe sałatki z tartinkami pełne, jak przystało na kuchnię francuską, oliwek, papryki i sera

## Dzień trzeci - Wieczór w Restauracji „U Garniewiczów”

W poznańskiej restauracji „U Garniewiczów” zaprezentowano tego dnia specjalę kuchni bretoń-





skiej. Na stołach pojawiły się więc takie danie jak: Galeta bretońska z farszem grzybowym (jest to rodzaj naleśnika z mąki gryczanej), z sosem cebulowo-pomidorowym, filet z dorsza w sosie maslanym, warzywa z patelni, filet z polędwicy z sosem musztardowym itp. Nie zabrakło też wspaniałego, francuskiego wina, którym delektowano podniebienia. A w piwnicze restauracji rywalizowano prezentując naprzemiennie tance polskie i francuskie. W ogólnym rozliczeniu ogłoszono sprawiedliwy remis.

### Dzień czwarty - Legenda o zatopionym mieście

Imprezą trafioną w dziesiątkę okazało się popołudnie baśni i smakołyków bretońskich wyłącznie dla dzieci. Miejsce spotkania milusińskich z legendą francuską to biblioteka DK „Pod Lipami”, gdzie czytano jedną z najpopularniejszych w Bretanii baśni o zatopionym mieście. Właśnie to miasto pełne zamków z kolorowego kartonu wykonywały dzieci posługując się papierem, nożyczkami i klejem, ustawiając je odpowiednio pod dzienne światło i pokrywając przezroczystą folią, dzięki której mamy wrażenie, że miasto jest rzeczywiście zatopione. Działo się to wszystko pod profesjonalnym, artystycznym okiem pani Zyty Kalety.

Jeśli maluchy to oczywiście i słodkości w postaci francuskich „CREPES” smażonych na patelni z cukrem, kremem i czekoladą. Wywieszono nawet przepis na tablicy ogłoszeń, by każda mama mogła uraczyć swą pociechę taką smakowitością w domu.

### Dzień piąty – Spacer po najpiękniejszych zakątkach Wielkopolski

Ten dzień przybrał charakter wycieczki krajoznawczej, a jej trasa to: katedra poznańska, skansen w Dziekanowicach, zamek w Kórniku, Rogalin. Pomimo deszczowej pogody ekipa francuska zaliczyła ten dzień do udanych tym bardziej, iż cała grupa została bardzo ciepło i życzliwie przyjęta przez dyrektora Szkoły Podstawowej w Kórniku. W momencie największej uległy pozwolono schronić się wyciecz-

kowcom w budynku szkolnym, nakryto stoły białymi obrusami i poczęstowano gorącą kawą. Bretończyków tak sympatyczne przyjęcie w sytuacji, gdy wizyta była zgola nie zapowiedziana, gdyż, jak twierdzą, podobne powitanie w takich okolicznościach nie mogłoby się we Francji zdarzyć.

### Dzień szósty - Pożegnanie

czyli wieczór Klubu Przyjaciół Bretanii „Ca Va” z udziałem artystów polskich i bretońskich w DK „Pod Lipami”. Przy aperitifie z białego wina i soku z czarnej porzeczki (bret. kir) rozmawiano o tym co by-



ło i o przyszłorocznych zamierzeniach obu grup. Na stole pojawiły się galaty nadziewane parówkami w sosie pomidorowo-cebulowym i serowym oraz „cindre”, czyli winny, musujący napój jabłkowy.

Ponieważ był to ostatni dzień pobytu Bretończyków w Poznaniu dzielono się wrażeniami artystycznymi, kulinarnymi i rozrywkowymi tegorocznych spotkań. Nawiązano szereg nowych kontaktów i przyjaźni, wymieniono doświadczenia i ustalono, że spotkać się należy po raz kolejny jak najszybciej, czyli już za rok. Będzie to spotkanie jubileuszowe, bo dziesiąte. A więc do zobaczenia w przyszłym roku!

Iwona ŻYCHOWSKA





O historii Kościoła pisać można różne rzeczy. Papier, jak wiadomo, jest cierpliwy, i wiele wytrzyma. Z drugiej strony zaś wydawnictwa dla umocnienia i szerzenia wiary Kościoła powołane, często gloryfikują wiele kościelnych poczyniń, które nawet wśród wiernych nie cieszą się jednoznacznym poparciem. Są i takie wydawnictwa, jak choćby Księgarnia Świętego Wojciecha, które w toku wieloletniej działalności wypracowały w swojej praktyce regułę złotego środka. Dlatego „świętowojciechowym” pozycjom zawsze warto przyglądać się z uwagą.

mi starszymi, których organizm nie toleruje rzeczy skrajnych. Wiele też tu o winach i to najznamienszych, jako że z winem Kościół obcuje na co dzień, z racji Przeistoczenia. Jeśli kusić się o uogólnienia, widać tu wyraźnie drogę, jaką przeszło papieństwo od prostych i ogólnie dostępnych potraw ludowych, poprzez ptactwo „ubrane i stojące”, do prostej znowu polenty, w której gustowali Jan XXIII czy Paweł VI. Autorki dokonały zwiadu w kuchni Jana Pawła II, nie mogły tam atoli wybadać nic charakterystycznego dla papieża z Polski. Nieco się pospieszyły z wydaniem tej książki, gdyby poczekały do ubiegło-

# A kremówek żal ...

„Smacznego Ojcie Święty” to jednak rzecz w dorobku wydawnictwa osobliwa, by nie rzecz wyjątkowa. Mariangela Rinaldi i Mariangela Vicini puszczają do czytelnika perskie oko w trakcie kulinarnych podróży w czasie. Konkretniej zaś biorą pod lupę papieski apetyt i kulinarne upodobania na przestrzeni wieków. Jesteśmy mocno zaskoczeni, o takich rzeczach nie mawiało się zbyt głośno, tymczasem otrzymujemy sympatyczną i najwyraźniej pogodnie ironizującą książkę podglądającą głowy Kościoła od strony kuchni. Przyznaję, że parokrotnie się roześmiałem, a ubawiony byłem właściwie przez cały czas lektury. Bo jak tu się nie śmiać, gdy czyta się, ku własnemu zaskoczeniu, że „Piotr był jak wiadomo troszkę kłamaczem”. Żadna to rewelacja dla każdego chrześcijanina zważywszy pewną noc i rano na dziedzińcu pałacu arcykapłana, mimo to tak mocno, choć piśczętliwie powiedziane... W miarę poznawania książki przestajemy się atoli dziwić. Autorki wiodą nas poprzez historię papieństwa, nie omijając wcale raf, takich jak pontyfikat Bonifacego VIII czy Aleksandra VI, łagodnie nas przez nie przeprowadzając. Naszym przewodnikiem jest apetyt, kulinarny gust, przy czym każdy niewielki esej poświęcony papieskiej sylwetce opatrzone jest aneksem, w którym pojawiają się przepisy charakterystyczne dla postaci, bądź okresu.

Potrawy są delikatne w smaku, acz wymyślne. Nic dziwnego, wszak mamy do czynienia z ludź-

roczniepięćdziesiątym Ojca Świętego w strony rodzinne, mogłyby ostatni esej budować wokół kremówek, co też by znakomicie

ilustrowało historię Kościoła, zważywszy na naleśniki papieża Gelazego.

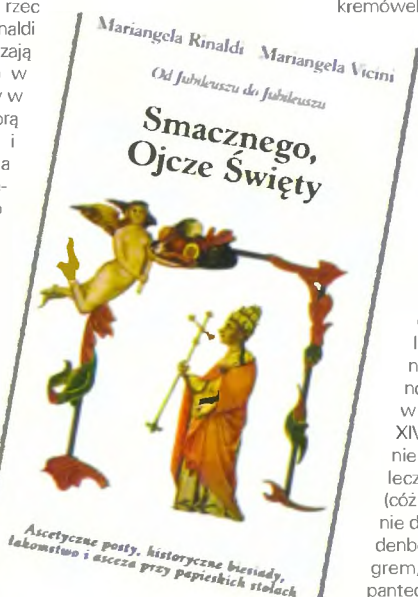
Jako entuzjasta tej smakowitej dosłownie i w przenośni książki przestrzegam jednak przed zawieraniem autorkom w materii drugorzędnych kwestii historycznych, związanych z pewnymi osobami. Tak więc Karol I Andegawerski nie był nigdy królem Francji (panował na Sycylii i później - w Neapolu), na przełomie XIV i XV stulecia król Szkocji nie mógł mieć na imię Jerzy, lecz Jakub, zaś kondotier (coś za malowniczo określenie dla partyzanta z gór) Skandenberg nie mógł być Węgrem, skoro zalicza się do panteonu bohaterów narodowych Albanii. Nie wińmy naszych sympatycznych autorek; zapewne opierały się na doku-

mentach watykańskich, ręka kopisty zaś bywa omylna...

Gorąco zachęcam do spotkania ze swego rodzaju wyjątkową, bo mądrą i dobrze napisaną pozycją strawnie prowadzącą nas na skróty przez kręte i czasami strome ścieżki Kościoła. Znakomita to lektura na wakacje i nie tylko, choć kremówek żal...

(dym)

**Mariangela Rinaldi, Mariangela Vicini, Smacznego Ojcie Święty, Księgarnia Świętego Wojciecha, Poznań 2000, s. 232**



Współczesne statystyki wskazują jednoznacznie na tęsknotę Polaków za karą śmierci, pojawiają się nawet głosy wzywające do przywrócenia chłosty i kar hańbiących. Ta nostalgia za surowością powoduje, że warto przypomnieć na czym w istocie polegał dawny sposób postępowania z przestępcami.



# Pierwszy krzyk

Pewien właściciel sklepu wystawił przed swoją posesją klatkę, w której chce przetrzymywać przylapanych na gorącym uczynku złodziei do czasu przybycia policji. Z szeroką aprobatą spotykają się przypadki nadużywania obrony koniecznej przeciwko przestępcom. Zjawiska te ilustrują prostą logikę: aparat ścigania nie radzi sobie z ochroną społeczeństwa przed zbrodnią, wobec czego wzmocnić trzeba funkcję odstraszącą kary i możliwości samoobrony obywateli. Gdzie jednak kończy się

odstraszanie, a zaczyna żądza krwi? Jak dowodził kiedyś

Konrad Lorenz („Tak zwane zło”, „Regres człowieka”) agresja jest niezbywalną cechą człowieka i tylko

w biegu dziejów została przez kulturę wytłumiona. Rezultaty są niekoniecznie pozytywne, bo nasz prymitywny przodek zachowywał zdrowie psychiczne rozładowując swoje emocje przy

pomocy bijatyki na kije, a na

zbrodniarzu mścąc się osobiście, czy wspólnie z rodziną. Dzisiaj

rozładować się można jedynie przed telewizorem; nawet wojnę atomową prowadziliby przez wciśnięcie guzika. Być może tak ograniczony człowiek współczesny stał się neurotyczny, ale jak ten dylemat rozwiązać bez wylewania dziecka z kąpielą?

Stanisław Lem podpowiadał, że każdy mógłby sobie urządzić w domu wieszalnię. Podjęto by masowo produkcję elektronicznych imitacji nieznosnych bachorów, zrzedliwych żon, despotycznych szefów i nieulubianych polityków, na których obywatel do woli mógłby się wyżyć, bez naruszenia praw człowieka i humanitarnego kodeksu karnego. Palenie kukieł przedstawiających polityków i egzekucje in effigie są tu jakimś historycznym precedensem.

Trudno odpowiedzieć na pytanie o rezultaty takiej terapii, można natomiast zapytać, jak się sprawy miały, kiedy maltretowano nie kukły, a prawdziwych lub rzekomych zbrodniarzy.

W dawnym Poznaniu kat swoją siedzibę miał w baszcie katowskiej przy ulicy Woźnej. Dwa najsłynniejsze tematy dzisiejszej kultury masowej: seks i zbrodnia i wówczas szły z sobą w parze, jako że w tym samym miejscu znajdował się również kierowany przez małżonkę kata miejski dom publiczny. Nieopodal ulokowana była też miejska łaźnia, która zazwyczaj stawała się miejscem kolidującym z szóstym przykazaniem. Profesja kata uważana była za podłą i hańbiącą i też w okolicy jego siedziby nikt znaczniejszy nie chciał zamieszkiwać. Ulica Woźna to rejon zasiedlony przez ubogich kramarzy i osoby mniej zamodne. Powodem mogły być też nieprzyjemne zapachy, jako że kat był zarazem hydelem, zajmował się uprzątnięciem z ulic psów, kotów, ścierwa padłych zwierząt, z których np. oporządane skóry nierzadko sprzedawał. Owa działalność niekorzystnie wpływała na aparat powonienia. To dawne kojarzenie nieprzyjemnych zapachów z występkiem przybierało znacznie szersze rozmiary. Oto, więc nieopodal miejsca wykonywania kary



Maska hańby

ścięcia i pęgięzka miejskiego znajdował się cuchnący miejski rynsztok. Udając się w obszary bardziej wzniosłe zauważymy, że szatan miał zawsze cuchnąć, a święci wydawać z siebie, zwłaszcza po śmierci, zapachy o których Chanel i Dior mogliby tylko pomarzyć.

Kat do naszych czasów był osobą cieszącą się wątpliwą sławą, ale dawniej składały się na to bardzo praktyczne względy. Jak wykazały badania Hanny Zaremskiej, swych następców kat rekrutował nierzadko ze zbrodniarzy, których brał sobie na uczniów. Czasami, owszem, mamy również do czynienia z przechodzeniem profesji z ojca na syna i z katowskimi dynastiami. Tak było np. w Norymberdze.

Podstawowym zadaniem kata było wykonywanie egzekucji oraz tortury, a więc masakrowanie ludzkiego ciała, kiedy to przesłuchiwany był, jak to współcześnie nazywano, „surowo pytan”, „brany na mękę” czy „ostro egzaminowany”. W Poznaniu egzaminy odbywały się w podziemiach ratusza, prawdopodobnie pod schodami, gdzie nie było żadnego otworu okiennego. Dzisiejsza lokalizacja muzealnej izby tortur ma raczej charakter symboliczny. Dostyc, że i w owym miejscu kaźni dobywające się z oprawianych złooczyńców ludzkie wydzieliny wszelkiego rodzaju pozostawiały po sobie nieznosny fetor. Poznańska izba tortur dzieliła się na nieco podwyższone pomiesz-

**Zgniatacz palców** ty się w podziemiach ratusza, prawdopodobnie pod schodami, gdzie nie było żadnego otworu okiennego. Dzisiejsza lokalizacja muzealnej izby tortur ma raczej charakter symboliczny. Dostyc, że i w owym miejscu kaźni dobywające się z oprawianych złooczyńców ludzkie wydzieliny wszelkiego rodzaju pozostawiały po sobie nieznosny fetor. Poznańska izba tortur dzieliła się na nieco podwyższone pomiesz-

czenie dla sędziów i połączoną z nią właściwą izbę tortur. Bólu nie zadawano dowolnie, ale wówczas, kiedy mimo podejrzenia przestępstwa złooczyńca nie chciał się przyznać do winy. Kiedy tak się działo przestępca do wiadywał się, że swoimi uporem sam się skazuje na mękę i do dzieła przystępował kat z pomocnikami. Regulaminowo tortury podejmować było można w Poznaniu



Maska hańby

trzykrotnie, początkowo nazywano „pierwszym krzykiem”, co może się kojarzyć nieco połoźniczo, stosownie numerowano i kolejne. Proste tortury, to chłosta, szarpnięcie ciała rozżarzonymi w ogniu cęgami, czy przypiekanie blachami. Stosowano również tzw. „konika”. Prawdopodobnie chodziło o przypominającą zaostroszony grzbiet tego zwierzęcia ławę, na której okramiem sadzano przesłuchiwanego, przywiązując mu dodatkowo do stóp ciężarki. Zachowana dokumentacja poznańskich narzędzi tortur nie jest zbyt obfita. Znacznie więcej mówią obiekty zachowane w muzeach w Rottenburgu, czy w Mediolanie. Zne są takie pospolite instrumenty do zadawania cierpienia, jak „hiszpańskie buty” służące do zgniatacia goleni, podobne urządzenia do miażdżenia palców u dłoni, poziome i pionowe łoża

do wyciągania kości ze stawów, nabite gwoździemi „fole czarownicy”, czy posiadające różne warianty „norymberska dziewica” – nabita od wewnątrz gwoździemi skrzynia w kształcie dziewczyny, w której zamykano katuszanego, z otworami przez które można go było dodatkowo polewać lodowatą wodą. Są i bardziej jeszcze potworne urządzenia, jak z rzeźmieśniczym kunsztem wykonane „gruszki” – maszyny przypominające kwiat z rozkładającymi się na rozkręceniu śruby liśćmi. Taką gruszkę wkładano do ust delikwenta, wkładano w literalnie każdy otwór jakiegoś człowieka posiada (tu wariant gruszki dla niewiast podejrzanych o czary) i rozkręcając ją zachęcano badanego do szczerości. W Poznaniu takie wyrazi-

Dziewica z Rothenburga i dziewica norymberska







nowane technologie raczej nie były stosowane, ale pozwalają one na postawienie pytania na ile nasze wyobrażenia, że skrajne okrucieństwo jest skutkiem psychicznej dewiacji są uzasadnione. Za swoje dewiacje kat sobie zręszą całkiem słono liczył. Znamy taki szczegółowy cennik z Darmstadt: założenie hiszpańskiego buta 2 floreny; założenie kury 1 floren 30 groszy; wychłostanie różgami 3 floreny 30 groszy; przypiekanie, podpalanie pleców lub czoła 5 florenów; obcięcie uszu i nosa 5 florenów; udział w torturach 2 floreny 30 groszy; poćwiartowanie 15 florenów 30 groszy; ścięcie mieczem 10 florenów; łamanie kołem 5 florenów; zatknięcie głowy na haku 5 florenów; powieszenie 10 florenów; pogrzebanie ciała 1 floren. Cenniki poznańskich katów są rzecz jasna znacznie prostsze.

Ostatni raz tortury zastosowane zostały w Poznaniu dopiero w styczniu 1776 r. Pocieszające, że jednak zdarzały się przeciwko nim protesty – w 1639 r. ofi-

cialny memorial w tej sprawie złożył poznański syndyk Daniel Wisner. Pocieszające, że męki zastosowano tylko w paru setkach spraw sądowych, jakie miały miejsce w Poznaniu. Po tym pocieszeniu wypada wszakże wyjść z

mrocznej sali tortur i przyjrzeć się kaźni odbywanej publicznie.

Najpospolitszą karą wykonywaną przed zebrałymi mieszkańcami miasta była chłosta pod ufundowanym w 1535 r. kamiennym pręgiem.

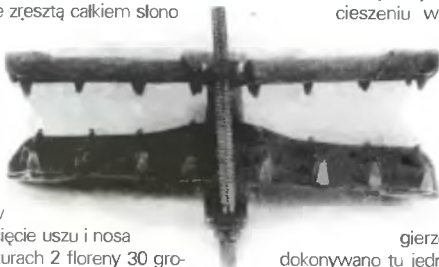
Stosunkowo rzadko dokonywano tu jednak i innych zabiegów, jak

### But hiszpański

żuż z poważniejszego złoźejstwo karano śmiercią – przez powieszenie, która to kara

miała charakter harbiący, za bardziej godne uchodziło ścięcie mieczem, jako że topora w Poznaniu raczej nie używano. Szubienica ulokowana była w okolicy obecnej ulicy Dolna Wilda – ówczēnie ten obszar znajdował się poza murami miejskimi. Podróżujący wędrując z jednej miejscowości do drugiej trafiali na takie obiekty, zawsze ozdobione gnijącymi zwłokami przestępców, potem w miastach oglądali wystawionych na widok publiczny zbrodniarzy chłostanych pod pręgiem, czy po prostu unieruchomionych, zamkniętych w kunach i kłatkach, czy ozdobionych maskami. Szczególnie w Niemczech popularne były charakterystyczne przez długi zwieszony język maski harbiące; dla kobiet-sekultnic. Wchodząc do kościoła widziało się skazanych na kary kościelne – przykutych do kolumny, z wywieszoną na szyi kartką opisującą przestępstwo, polegające np. na uprawianiu seksu przedmałżeńskiego i na nieślubnej ciąży. Widoku przemocy i agresji całkiem na żywo doprawdy nie brakowało. Z zachowanych relacji wiemy, że reakcją publiczności nie było bynajmniej tylko współczucie, ani nawet trwoga. Równie często pojawiało się szyderstwo wobec skazanych, na co liczyli sędziowie, oraz niezrozumiałe dla nas, zgola sportowe emocje.

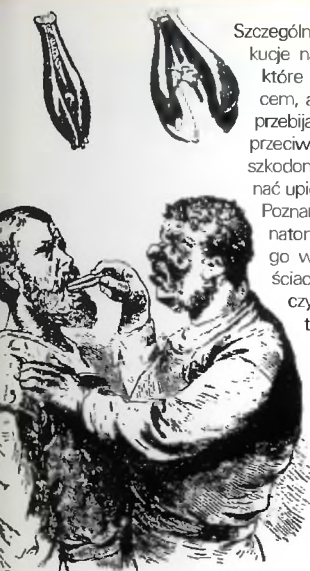
Znajdziemy je najczęściej przy egzekucjach, kiedy to publiczność już znacznie przed czasem zajmowała najlepsze do kibicowania miejsca, dla lepszego widoku wykupywała też okna w otaczających rynek kamienicach, a sprzedawcy robili dobry interes na lemoniadzie. W Poznaniu, podobnie jak gdzie indziej, kat najpierw oprowadzał skazańca po czterech rogach rynku, gdzie dokonywał jego chłosty, po czym dopiero zabierał się do właściwego dania, czyli ścinania głowy. Pewnie Poznań nie różnił się od innych miast, gdzie zręczne ciecicia nagradzane były brawami, a kat rąbiący niecelnie i byle jak, był wygwizdywany, albo i przepędzany przez niezadowolony tłum, w którym nie brakowało dzieci. Dzisiaj w scenie obrzynyania głów w filmie „Dług” współuczestnik tego czynu wymiotuje – to przejaw jakże innej mentalności – nie znoszącej widoku łamania kołem, rozdzierania końmi i ćwiartowania. Czegoś takiego w naszej kulturze można się dzisiaj przeciw spodziewać, co najwyżej po kimś pokroju psychopaty Hannibala Lectera z „Młoczenia owie”.



Ostat hiszpański z cięzarkami







Szczególnie okrutne były egzekucje na dzieciobójczyniach, które zasypywano żywcem, a następnie ich serca przebijano kolkim. Miało to przeciwdziałać ewentualnym szkodom, których mógł dokonać upiór dzieciobójczyni. W Poznaniu nie wykonywano natomiast praktykowanego w innych miejscowościach topienia dzieciobójczyń, pomimo że poza tym przestępców topiono – miejscem do tego przeznaczonym był most Chwaliszewski, zwany też Wielkim. Wspominam o tym, ponieważ ta technologia wykonywania wyroku na dzieciobójczyniach odznaczała się szczególnym okrucieństwem. Kobietę umieszczano mianowicie w worku nierazko wraz z żywymi zwierzętami: psem, kotem, kogutem, wężem (pomijam kwestię procesów zwierząt i palenia na stosie krów i koni, bo to też miało miejsce). Dodatkowe obstrzeżenia kar polegały na tym, że w miejscu publicznym umieszczana być miała obcięta ręka, czy głowa winowajcy. W Poznaniu wykonywano też, acz niezbyt często, karę przewidzianą dla czarownicy, karę spalenia na stosie. Taki był los np. Barbary z Oleśnicy (1632), Doroty Gnieczkówny (1544) Jadwigi Ariela (1676).

### Gruszka doustna

System penitencjarny oparty zasadniczo na masakrowaniu ciała próbował objasnić Michel Foucault w książce „Nadzorować i karać”. Wskazuje tam na nikłą wartość ludzkiej egzystencji w dawnym świecie – oż zwykły człowiek miał poza własnym ciałem, które można ukarać. Okrucieństwo życia i powszechność śmierci powodowały inflację wartości ludzkiej egzystencji. Kary miały mniej nawet wyznar odstrasżający, a bardziej zastrasżający – miały być nieporównywalne do win, bo przestępca obraził swym czynem władzę, przyniósł uszczerbek jego godności, co domagało się królewskiej zemsty. Wielki teatr egzekucji był zawsze manifestacją siły władzy.

Warto powiedzieć, że w tym świecie musieli się zdawać nikczemne nie, że Chrystusa ukrzyżowano, a że ukrzyżowano Chrystusa. Dopiero osiemnasty wiek zaczął upowszechniać nową wrażliwość, pojęcia humanitaryzmu, przyrodzonej godności ludzkiej gwarantowanej przez prawo naturalne. Oświecenie, wbrew temu, co się czasem sądzi mniej atakowało religię, a częściej bezmyślne klepanie paciery, poważniej natomiast traktując pojęcie miłości bliźniego, miłosierdzia, skrucy i pokuty. Beccaria pisał: „Boże, którzy zaszczepił w naszych sercach wstręt do bólu własnego i cudzego, czy na-

prawdę istoty, któreś stworzył tak słabymi i czuлыми, wymyśliły owe barbarzyńskie i wyrafinowane tortury?” Tak, więc teraz dopiero zbrodniarz potraktowany został jak człowiek i otrzymał szansę na poprawę i wybaczenie nie tylko w życiu wiecznym. To są źródła współczesnego stosunku prawa do kar dla przestępców. Kłopot w tym, że nazbyt często nie chcą być oni ani oświeceni, ani skruszeni, a miłość bliźniego mają za naiwność. W tej sytuacji trudno się dziwić, gdy zdanie – kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem – zostaje potraktowane jak zachęta do działania.

Dariusz ŁUKASIEWICZ

**Literatura:** Witold Maisel, Poznańskie prawo karne do końca XVI w., Poznań 1963; tenże, Sądownictwo miasta Poznania do końca XVI w., Poznań 1961, tenże, Archeologia prawa Polski, Warszawa 1982, tenże, Archeologia prawa Europy, Warszawa-Poznań 1989, tenże, Tortury w praktyce sądu kryminalnego miasta Poznania w wiekach XVI-XVIII, Studia i Materiały do Dziejów Wielkopolski i Pomorza, 1, 1979, tenże, Pręgiarz poznański, Czasopismo prawno-historyczne, 1, 1971, s.1-32; Maron Kamler, Świat przestępcy i jego działania w Poznaniu drugiej połowy XVI i pierwszej połowy XVII w., Kronika Miasta Poznania, 1-2, 1993, s.65-93; tenże, Środowniska przestępcze Poznania i Krakowa w drugiej połowie XVI w., w: Studia nad gospodarką, społeczeństwem i rodziną w Europie późnofeudalnej, p.red. J.Topolskiego. Lublin 1967, s.217-232; tenże, Świat przestępcy w Polsce XVI i XVII stulecia, Warszawa 1991; Andrzej Kapiński, Prostytutki, złodzieje, czarownice. Z badań nad kobiecą przestępczością w Poznaniu w drugiej połowie XVI i w XVII w., Kronika Miasta Poznania, 1-2, 1993, s.110-132; Tadeusz Maciejewski, Narzędzia tortur, sądów bożych i prób czarownic, Koszalin 1997; Janusz Tazbir, Okrucieństwo w nowożytnej Europie, Warszawa 1999; Hanna Zaremska, Niegodne rzemiosło. Kat w społeczeństwie Polski XIV-XVI w., Warszawa 1986; Richard van Dülpen, Theater des Schreckens. Gerichtspraxis und Strafrituale in der Frühen Neuzeit, München 1988, Michel Foucault, Nadzorować i karać. Narodziny więzienia, Warszawa 1993.

### Prosty model krzesła czarownicy



# Kopią w samorządność

Pobyt w szpitalu nie jest nigdy rzeczą przyjemną. Jedną z najbardziej dokuczliwych niedogodności, na które narażony jest chory oderwany od codzienności staje się wówczas nadmiar wolnego czasu. Mówiąc inaczej – nuda. Jak pokonać szpitalny bezruch umysłu? Obok innych metod skutecznej terapią wydaje się czytanie. W szpitalu, jak to w szpitalu, dość łatwo o gazety. Tyle tylko, że nie nowe. Krążą pomiędzy lekarzami poszczególnych łóżek i starzeją się z wolna. Gdyby oceniać ich wartość terapeutyczną, nie trzeba by budować zbyt szerokiej skali. Chociaż...

Zdarzyło się, że w moje ręce – wyjąłownego szpitalnymi lekturami pacjenta trafił numer tygodnika „Wprost”. Nie nowy bynajmniej, z datą 16 kwietnia. I proszę sobie wyobrazić – podniosło mi się ciśnienie! A to za sprawą artykułu Michała Zielińskiego „Przymusowa dobrovolność”. Tytuł sam w sobie niewinny i w pewnym sensie tajemniczy. Z czym to się je? Więcej informacji przynosi nadtytuł: „Kto zyska na powołaniu obligatoryjnego samorządu gospodarczego”. Wiadomo przynajmniej, że rzecz dotyczy jednej z form samorządu. Konkretnie zaś o samorząd gospodarczy, zatem o sprawę nienową, a z racji przygotowywanego projektu odnośnie ustawy – szeroko dyskutowaną. Nie dość na tym – również konsultowaną w kręgach działaczy gospodarczych, właścicieli firm, kupców, działaczy samorządowych, niektórych spośród parlamentarzystów. Przede wszystkim jednak w kręgach tych ludzi, którzy pojmują potrzebę rozszerzenia działań samorządu również na płaszczyznę gospodarczą.

Podobnie jak w każdej dyskusji, rzeczą zdrową, a nawet pożądaną jest ścieranie się rozmaitych, przeciwstawnych nawet poglądów. Prezentowanie autorskich koncepcji, daleko idących modyfikacji poszczególnych wersji projektu jest niewątpliwie rzeczą zdrową. Wiadomo, wszak chodzi o to, by przygotować projekt ustawy, pod którym podpisać mógłby się każdy. Niewykonalne? Zgoda, można jednak dążyć do optimum.

Michał Zieliński – autor artykułu „Przymusowa dobrovolność” najwyraźniej pod żadnym projektem dotyczącym gospodarczej samorządności podpisać się nie chce. Czy tylko na razie? Obawiam się, że powziął ku owym inicjatywom zdecydowaną niechęć. Co więcej – w ogóle nie chce o nijakich projektach dyskutować. Zdaje się, że sięgnął po pióro li tylko po to, by podzielić się z czytelnikami swoim, jakże silnym, przekonaniem o przymusie zrzeszania się w ramach samorządu gospodarczego. Można być ledwo jako tako zorientowanym w problematyce a pogubić się zupełnie w gąszczu wywodów Michała Zielińskiego. Co do jednego zgoda. Projekt ustawy o samorządzie gospodarczym nie jest znany społeczeństwu. Lecz – o dziwo – nie jest także

znany autorowi artykułu. Przynajmniej takie można odnieść wrażenie, gdy zestawia tekst projektu ustawy z wywodami Michała Zielińskiego. Trudno oprzeć się refleksji, że przystępując do przygotowania artykułu, jego autor czerpał wiedzę z dalece niedoskonałej, wcześniejszej wersji projektu. Zatem – nikt nie wie dokładnie, o co chodzi. Nawet autor poważnego bądź co bądź, poczynnego tygodnika o skryształizowanych poglądach ekonomicznych.

Opinia publiczna nie od dziś stanowi element życia społecznego, którego nikt nie może lekceważyć. Nawet ustawodawcy. Jeśli więc czegoś nie chcemy, czemuś się sprzeciwiamy, a nie możemy sięgnąć po logiczne argumenty, wówczas pora na odwołanie się do opinii publicznej. Tak czyni Michał Zieliński na łamach tygodnika „Wprost”. Posługuje się przy tym projektem ustawy, którego nikt już dziś nie bierze pod uwagę. Niewiedza? Zaniedbanie? Może – uchowaj Boże co innego?

By nie być gołosłownym, przywołajmy fragment wywodów Michała Zielińskiego. Pisze autor: „...I na koniec informacja o finansach. Artykuł 16 inkryminowanego projektu stwierdza: »źródłem finansowania działalności izb jest udział w podatku od towarów i usług wynoszący (tu wykrópkowane) procent«. Warto, abyś, drogi czytelniku, zwrócił uwagę na ten punkt. Jeśli bowiem myślałeś, że projekt ustawy jest idiotyzmem, który nieco utrudni życie firmom, ale ciebie nie dotknie, warto cię wyprowadzić z błędu. Dotknie i to bardzo. Za służbowe mercedesy i prywatki nowej nomenklatury ty zapłacisz. Zapłacisz wyśzonym o (tu wykrópkowane) procent podatkiem od towarów i usług.”

Nie chodzi o formę i styl tej wypowiedzi powielającej schematy o rajskim życiu samorządowców. W tym, niewielkim fragmencie odnaleźć można bez liku nieścisłości i przekłamań. Tylko po części wynikają one z tego, czego Michał Zieliński wiedzieć nie mógł, nie dysponując aktualną wersją projektu ustawy o samorządzie gospodarczym. Jak na dłoni wynika natomiast, co autor widzieć chciał. Chciał roztoczyć obraz pełnych pretensji nieudaczników, żyjących wystawnie na koszt podatnika. Nie trzeba chyba dodawać, iż jest to sygnał wysłany w stronę opinii publicznej. Istotne jest tu co innego. Źródła finansowania sejmików (nie izb – ten błąd „terminologiczny” towarzyszy wywodom autora nieodmiennie) określa artykuł 18, nie 16 – jak zdaje się Michałowi Zielińskiemu – ustawy o samorządzie gospodarczym. Artykuł ów głosi, co następuje: „Podstawowym źródłem finansowania działalności sejmików, w zakresie zadań określonych w art. 3 ust. 1 jest udział w podatku od towarów i usług w wysokości 0,5% wpływów a terenu danego województwa” (ust. 1). W ustępie 2 czyta-

my z kolei: „Dodatkowymi źródłami finansowania sejmików są: 1) darowizny, spadki oraz zapisy; 2) dochody z własnej działalności gospodarczej; 3) dochody z majątku powszechnego samorządu gospodarczego”. Wreszcie z ustępu 3 tegoż artykułu dowiadujemy się iż: „Rada Ministrów określi, w drodze rozporządzenia, tryb przekazywania sejmikom środków finansowych, o których mowa w ust. 1”.

Gdzież tu, na Boga, miejsce na luksusowe samochody, gdzie girlsy i egzotyczne wojaże za pieniądze Kowalskiego? Rzeczywistość, raczej zgrzebna, odbiega znacznie od wieszczby Michała Zielińskiego. Samorząd gospodarczy bę-

Na sejmiki poszczególnych województw niewielki wpływ mieć będzie Krajowa Rada Gospodarcza której strukturę, tryb powoływania, prawa i powinności reguluje projekt ustawy w sposób ścisły. Publicysta „Wprost” nie mógł, a może nie chciał o tym wiedzieć...

Aż chce się zapytać gdzie jest przysłowiowy pies pogrzebany? Wydaje mi się, że w stwierdzeniu autora artykułu: „...nomenklaturowe lobby wbiło pojęcie samorządu gospodarczego w świadomość społeczną sprawiając, że sporo osób nie zdaje sobie sprawy, że tak naprawdę chodzi o przymusowe zrzeszanie podmiotów gospodarczych w wojewódzkich izbach gospodarczych i



dzie miał po prostu obowiązek robić to, czego dziś podejmują się – z różnym zresztą skutkiem – i z pewnością nie za darmo, rozmaitej maści i proveniencji instytucje i stowarzyszenia wpisujące do swych nazw słowo „business” odmieniane na wszelkie przypadki i sposoby...

Publicysta „Wprost” ma zresztą kłopoty z określeniem kształtu i kompetencji władz samorządu gospodarczego. Jego zdaniem organami izb (znów nieszczęsne izby miast sejmików) są: walne zgromadzenie, rada i zarząd. Kandydatów do tych organów obok wybranych spośród zalecanych przez kupców i przedsiębiorców miałyby zgłaszać izby rzemieślnicze i gospodarcze danego województwa. A to poważne – nazwijmy delikatnie – nieporozumienie. Artykuły 10 i 11 projektu ustawy, z którym nie danym się było autorowi artykułu zapoznać precyzują, że organami sejmików gospodarczych będą: walne zgromadzenie delegatów, rada i prezydium rady. Nie ma tu mowy o wyznaczaniu kogokolwiek tym bardziej przez izby rzemieślnicze czy gospodarcze.

przekazanie władzy nad nimi przymierzającym z głodu funkcjonariuszom izb rzemieślniczych i gospodarczych”. Ładne to czyż nie? Gdybyż jeszcze było prawdziwe...

Michał Zieliński nie jest, proszę Pań i Panów błędnym rycerzem, kruszącym kopię w imię szczytnych idei. Swoją kopią drażni raczej i porusza opinię publiczną doprawiając rzecz całą sporą dawką populizmu. Samorząd gospodarczy jest solą w oku dla tych, którzy żyli do tej pory – i to niegorzej – ze sporządzania analiz, formułowania programów rozwoju gospodarczego regionów czy też obszarów w oparciu o zdezaktualizowane, a nieraz i wydumane dane. Żyli i to niebiednie na koszt podatnika, który za takie kosztowne projekty i analizy z własnej kieszeni płacił. Teraz, gdy za niedługo powstaną samorządy gospodarcze, intratne źródło pewnikiem wyschnie. Cóż począć? Kopią w regionalne organizacje gospodarcze i rzemieślnicze, kopią w projekty samorządu. To nie są rycerze. Nawet błędni...

Tomasz DYMACEWSKI





Młodzież dopisała, pogoda - nie

# Natchnieni w deszczu



-Teatr jest wielką przygodą mojego życia. Gdy jestem na scenie znika trema wtedy czuję, że żyję - mówi Ewelina Nowak członek koła Proscenium przy XXIII Liceum Ogólnokształcącym w Poznaniu. Ewelina Nowak wraz z grupą koleżanek i kolegów brała udział w przeglądzie spektakli przygotowanych przez Szkolne Kluby „Proscenium” podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Teatru. Zaczęły się one w poniedziałkowy poranek 27 marca na Starym Rynku. Następnie barwne korowód uczestników przemaszzerował ulicami miasta aż do Teatru Polskiego. Pomimo ulewnego deszczu w zabawie brało udział blisko czterystu uczestników. Byli to głównie licealiści i gimnazjaliści z całej Wielkopolski. - *Postanowiliśmy stworzyć „Szekspyrlandię” - teatralną krainę, na czele której stanął Jerzy Goldbeck - aktor Teatru Animacji, który w tym dniu przyjął imię Szekspyrland I - mówi Jan Janusz Tycner prezes Towarzystwa Kultury Teatralnej. Na deskach Teatru Polskiego wystąpiło 17 grup teatralnych. Młodzi aktorzy prezentowali różne formy wypowiedzi teatralnej. Impreza cieszyła się dużym zainteresowaniem. Wypełniona po brzegi widownia z zaciekawieniem śledziła występ szczególnie gorąco oklaskując swoich szkolnych kolegów.*

- *W zasadzie jestem studentem, ale należę do koła teatralnego prowadzonego przez profesora Ewę Pawłowską przy XXIII LO - mówi Józef Piechowiak, który występował w sztuce „Przypadek”. - Udział w tej imprezie jest dla mnie doskonałą za-*

*bawą. Gdy jestem na scenie zapominam o wszystkim. Staję się tym kogo gram. Bardzo ważny jest również dla mnie kontakt z widownią.*

Młodzi aktorzy przygotowali bardzo zróżnicowany repertuar. Dramat przeplatał się z komedią. Można było zobaczyć sztuki, zaliczane do kanonu scenicznego takie jak „Balladyna”, „Romeo i Julia” czy – tu ukłon w stronę klasyki narodowej - „Pan Tadeusz”. Obok nich zaś spektakle, których autorami scenariusza i reżyserami byli członkowie i opiekunowie szkolnych grup teatralnych. To oni właśnie w prezentowanych sztukach chcieli pokazać swoje spojrzenie na świat. Całość oceniana była przez jury składające się również z młodzieży. Każda z występujących grup teatralnych otrzymała dyplom i drobne upominki ufundowane przez sponsorów. A warto dodać, że wśród nich znaleźli się wypróbowani przyjaciele teatru i młodzieży Marek Bykowski i jego firma „TADMAR S.A.”, Instytucja Filmowa „Film – Art.”, Wyższa Szkoła Sztuki Stosowanej „Schola Posnaniensis”, „Nasz Klub” czyli Halina i Adam Nowakowie, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Apteka „Pod Złotym Lwem” czyli Konstancja i Jan Majewscy, Teatr Animacji, Teatr Nowy, Teatr Polski, Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie, G&P Oficyna Wydawnicza Henryk Gosciański i Karol Prętnicki, Poznański Informator Kulturalny, Sportowy i Turystyczny „IKS”, Wojewódzki Ośrodek Doskonalenia Zawodowego w Mosinie.

Agata SZESKA



# Czy niemożliwe?



**499zł netto !**  
pakiet promocyjny

Skład pakietu:

- konsultacja, projekt i przygotowanie grafiki z powierzonych materiałów
- konstrukcja 5 ekranów , animowane przyciski oraz banerek reklamowy
- płyta CD z możliwością przeglądania serwisu bez podłączenia do internetu

Do każdego zamówienia bezpłatnie tapeta pulpitu Windows z logo Państwa firmy !

Zadzwoń po bezpłatną konsultację:

**re.PUBLIK interactive**

tel. 0601/876383, 0601/792686, fax 061/8234772

mail: customer@republika-cret.com, www.republika-cret.com/re.PUBLIK

**profesjonalne konta i serwisy internetowe**



# Wartko o prymasach

Prymasi polski czyli metropolici gnieźnieńscy to postaci, które szczególnie zapisały się w dziejach naszego kraju. Znajdowali się na pierwszej linii frontu we wszystkich sporach i dyskusjach wagi państwowej, zajmując najwyższe stanowiska świeckie – działali m.in. w dyplomacji, w staropolskim rządzie funkcjonowali jako kancerleze i podkancerleze, w ciągu dwóch stuleci tytułowano ich interrexami, reprezentowali bowiem Rzeczpospolitą przedzoborową przez

okres dziesięciu bezkrólewi. Równie ważką rolę odgrywali w czasach saskich, kiedy to część szlachty opowiedziała się za Sasem a druga za „Lasem” – Stanisławem Leszczyńskim

Mimo, iż zazwyczaj stawiano ich na piedestale często poddawano ich ostrej krytyce, a nawet złośliwym paszkwiłom w zależności od roli, którą zajmowali w państwie. Książka Marceliego Kosmana, za punkt wyjścia stawia sobie właśnie znaczenie każdego z prymasów na arenie politycznej kraju. Każdego z opisanych 79 (o niektórych historia mówi niestety niewiele) postaci ukazuje w kluczowym dla niego momencie, zarówno w okresie wzniołym jak i upadkowym. Pozycja ta nie jest więc typowym słownikiem biograficznym, zwłaszcza, iż napisano ją wartkim, łatwo przyswajalnym i „szybkim do czytania” językiem a ogromna liczba faktów przeplatana jest mnóstwem ciekawostek i anegdot.

Do dodatkowych atutów „Między ołtarzem a tronem” zaliczyć należy też jej stronę edytorską. Książkę bogato zilustrowano zdjęciami tudzież „domniemanymi portretami” dostojników oraz uzupełniono mapami, rysunkami herbów, biogramami wszystkich władczy najstarszej archidiecezji w Polsce czy też istotnymi wskazówkami bibliograficznymi.

**Marceli Kosman: Między ołtarzem a tronem. Poczet Prymasów Polski, G&P Oficyna Wydawnicza, Poznań 2000.**

A.S.



## TOWARZYSTWO KULTURY TEATRALNEJ

OS. PIASTOWSKIE 44/27. 60-153 POZNAŃ

TEL. 8765 005, 0501 785 744

PREZES JAN JANUSZ TYCNER

# mity i... APETYTY

**Książka dzisiaj podjąć musi walkę o czytelnika. Nie tylko swoją treścią – to oczywiście bardzo ważne – ale przede wszystkim szatą graficzną, „opakowaniem”. Podejmowane dzisiaj decyzje o zakupie książki podyktowane są – zwłaszcza jeśli nie mamy do czynienia z z szeroko reklamowanym bestsellerem – pierwszym kontaktem wzrokowym. Ostatecznie zakup książki jest aktualnie luksusem, który w domowym budżecie zamyka peleton...**

Mając na uwadze względy pozyskania czytelnika wydawnictwo „Athena” przygotowało „Mity o stworzeniu świata i ludzi” niezwykle starannie. Gra zaś warta jest świeczki. Pozycja, która ukazuje się w pięć lat od swojej prapremiery na rynku anglosaskim przynosi aktualny stan wiedzy na temat mitów kosmogonicznych ludzkości, gdziekolwiek i kiedykolwiek myślała ona o stworzeniu świata i usiłowała je sobie wyobrazić. W dziele noszącym nieco odstraszaający nieprzygotowanego czytelnika podtytuł „przegląd encyklopedyczny” nie dzieje się jednak nic strasznego, co mogłoby stanowić powód do załamania się pod ciężarem przyswajania wiedzy. David i Margaret Adams Leeming podeszli do wyznaczonego sobie zadania z niezwykłą powagą, co należy tłumaczyć jako uszanowanie gustów i cierpliwości odbiorcy. „Mity” prezentują nie tylko wątki podań i legend o stworzeniu świata charakterystycznych dla poszczególnych kultur, ale przybliżają i twórców owych podań – cywilizacje, plemiona czy grupy etniczne, wiele spośród tych opowieści przytaczają w obszernych fragmentach. Jakby tego wszystkiego nie dość, niemal każde hasło opatrzone jest czytelnymi i co równie ważne – dogodnymi w korzystaniu – przypisami, by o ilustracjach i bibliografii i indeksach nie wspomnieć. Jest to zatem książka opancerzona całym aparatem zwyczajowo przynależnym dziełom naukowym. Jeżeli kogoś wystraszyła ta informacja uspokoić mogę, że lektura „Mitów” dostarcza niezapomnianych wrażeń nie tylko uczynom, czy rozwiązywaczom krzyżówek. Każdy znajdzie tu przynajmniej kilkanaście opowieści, które urzekną go swoją barwnością i prostotą przekazu. Ostatecznie przodkowie wierzyli nie w bajki z mchu i paproci, tylko w rzeczy albo realne, albo tak wielkie i tajemnicze, że zwykły mózg klękał wobec takiej potęgi. Tyle o mitach, teraz czas na apetyty.

Jak każda tego typu pozycja, tak i „Mity” mają swoich cichych bohaterów. Mam tu na myśli tłumacza, Annę Zakrzewicz, a przede wszystkim redaktora naukowego, Andrzeja M. Kempirskiego. Szczególna przypadła mu rola. Musiał czuć od bezkolizyjnym kształtowaniem obrazu książ-

ki, zaopatrzonej, nie zapominając o tym, obok całego wymienionego już wcześniej aparatu naukowego w rozbudowany system odsyłaczy. Nieustannie konfrontować musiał wersję angielską i – powstającą – polską książki. Wreszcie to do zadań Andrzeja Kempirskiego należało odnalezienie i wypunktowanie wszystkich braków angielskiego pierwowzoru. Podszedł do tego z zapalem, zaangażowaniem i daleko posuniętym krytycyzmem. Blisko połowę przedmowy do wydania polskiego poświęcił wynotowaniu braków, luk i potknięć pierwowzoru. Nie po to, by zdyskredytować książkę. Po to, by w taki właśnie sposób lepiej ją przedstawić, a nawet zrekłamaować wobec czytelnika. Przynosi to zamierzony i oczekiwany efekt, bowiem prócz podziwu dla niewiarygodnej wprost erudycji Andrzeja Kempirskiego wiemy, że nie znajdziemy tu – oczekiwanej zapewne przez nas – wersji stworzenia świata naszych przodków – Słowian. Autor redakcji naukowej i komentarzy rozbudza nasz apetyt na więcej. Na częstsze kontakty z mitologią i na nową być może pozycję autorów. To silna i warta podkreślenia strona tej ciekawej i godnej ze wszech miar polecenia pozycji.

**David Adams Leeming, Margaret Adams Leeming, Mity o stworzeniu świata i ludzi. Przegląd encyklopedyczny, Oficyna Wydawnicza Athena, Poznań 1999, s. 294**

(dym)

## mity o stworzeniu świata i ludzi

PRZEGŁAD ENCYKLOPEDYCZNY







Artysta – rzeźbiarz Roman Kosmala:

# Czuję puls Wielkopolski

Gdy po raz ostatni „Pegaz” zaglądał do pracowni poznańskiego rzeźbiarza, Romana Kosmali, był jeszcze rok ubiegły, artysta zaś zył przygotowaniami do realizacji projektów będących pokłosiem ostrowskiego pleneru rzeźbiarskiego „Wyspa'99”. W perspektywie rysował się udział w obchodach roku milenijnego w Gnieźnie. Takie były plany i zamierzenia Romana Kosmali gdy szło o Wielkopolskę i jej życie kulturalne. Zrealizował je z nawiązką. Wystawa rzeźby i rysunku w Gnieźnie okazała się wydarzeniem nie tylko na miarę tego miasta, zaś udział w plenerze ostrowskim przyniósł nagrodę dla powstałego w rezultacie projektu i możliwość jego realizacji w ostrowskim parku. Niejako z marszu zdobył Roman Kosmala jedną z głównych nagród jubileuszowego Salonu Plastyki „Egeria” w tymże Ostrowie. Zatem – owocny, pracowity i obfitują-

cy w sukcesy czas. Czas, jaki jest marzeniem każdego ceniącego siebie i swoje dokonania artysty...

„Pegaz” nie lubi chwalić sam siebie. Trudno jednak nie zauważyć, że informacje o ocenę potrzebny i znaczenia ostrowskiego pleneru poprosiliśmy tego czasu jego późniejszego zwycięzcę. Jury w składzie: Stanisław Krakowski, Witold Banach, Andrzej Leraczyk, prof. Józef Petruk przyznało nagrodę Romanowi Kosmali za projekt: „Miasto – Wyspa I”. – *Zaproponowałem formę granitowej tarczy z wpisanym w nią symbolem miasta. Całość wyniesiona na głazie polnym – mówi artysta. – Właściwą wydała mi się ucieczka od szczegółów i zwrócenie się ku abstrakcji, przy czym w mojej koncepcji dominował wertykalizm. W mojej koncepcji tarcza o średnicy trzech metrów wyniesiona na głazie wyrastać*



Artysta w swojej pracowni



Medal, który R. Kosmala najpierw zaprojektował, a potem został jednym z jego laureatów

powinna wprost z tafli jeziora. Nie mam pewności, czy realizacja znajdzie wymarzone przeze mnie miejsce, jako że na przeszkodzie stoją ponoć specyficzne właściwości geomorfologiczne gruntu. Alternatywną formą lokalizacji może być wysepka usytuowana na środku jeziora. Obecnie przystąpiłem do kolejnej fazy realizacji – przygotowuję materiał i ustaliam harmonogram realizacji rzeźby. Z władzami miasta, które zaakceptowały mój projekt pozostaję w kontakcie. Mieliśmy zresztą mile spotkanie przy okazji „Egerii” – wyznaje artysta. Dla Romana Kosmala było to spotkanie tym miłsze, że związane z odebraniem nagrody Centrum Kultury i Sztuki w Kaliszu za „Sześcian” – rzeźbę w kamieniu i brązie. – Ta nagroda ma dla mnie tym większe znaczenie, że w mojej osobie nagrodzono po raz pierwszy na tej tradycyjnej już wystawie rzeźbiarza – zauważa pan Roman. – Zaznaczenie obecności rzeźby na „Egerii” stworzy, mam nadzieję, precedens, jako że dotąd imprezę tą kojarzono sobie przede wszystkim z grafiką i malarstwem.

Zapytywany o związki z Ostrowem, przyznaje Roman Kosmala, że częste jego do tego miasta podróże nie są bynajmniej dziełem przypadku.

– Pociągają mnie takie ośrodki, gdzie życie artystyczne rozkwita niejako od nowa. Tu, a także w Gnieźnie – czyli w ośrodkach, które mają nie tylko prawo, ale i wolę, by zaznaczyć swą obecność na kulturalnej mapie Wielkopolski, dzieją się rzeczy ciekawe, a z punktu widzenia życia artystycznego wręcz ważne. Weźmy choćby ostrowską „Egerię”. Wokół Ewy Mateckiej i kierowanej przez nią Powiatowej Galerii Sztuki Współczesnej udało się zbudować tradycję imprezy, która nie tylko weszła na stałe do kalendarium lokalnych wydarzeń kulturalnych, ale zyskała zasłużoną renomę w skali ogólnokrajowej. Pojawia się w Ostrowie coraz więcej prac spoza Wielkopolski i to nie tylko artystów cenionych o określonym dorobku, ale i młodych, którzy tutaj poszukują uznania i możliwości dalszego kształtowania drogi twórczej. Jeśli chcą być dostrzegani tutaj właśnie i z ostrowską wystawą kojarzeni, świadczy to tylko jak najlepiej o imprezie i jej twórcach. Sam związałem się z tutejszą galerią właśnie poprzez Salon Plastyki. Poproszono mnie, bym ocenił rzeźby zgłoszone na jedną z pierwszych edycji wystawy. W konsekwencji zaproszono mnie, abym zaprezentował ostrowianom swoje własne prace. Miałem tu już niejedną indywidualną wystawę, a każda z nich dała mi satysfakcję obcowania z ludźmi znającymi sztukę i potrafiącymi należycie docenić moje prace. Toteż jestem przekonany, że przyszłość „Egerii” przyniesie jej dalszy rozwój. Tym bardziej, że ustalenie dwuletniego cyklu wystaw sprzyjać zdaje się pełniejszemu i staranniejszemu przygotowaniu przez twórców prac, które zamierzają tu eksponować. Mam też nadzieję, że kolejne edycje salonu przyniosą ciekawe prace rzeźbiarskie a ta forma wypowiedzi artystycznej będzie tu znacznie pełniej niż dotąd prezentowana.

Innym miejscem, w którym Roman Kosmala często i chętnie eksponuje swoje prace jest



„Sześcian” - rzeźba nagrodzona w trakcie jubileuszowej „Egerii”





Wizualizacja nagrodzonego projektu w Parku Miejskim w Ostrowie

Gniezno. – Ostatnia wystawa, w trakcie której prezentowałem moje rzeźby i rysunek zbiegła się z obchodami milenium zjazdu gnieźnieńskiego. Wręczenie mi na wernisażu Medalu Milenium Zjazdu – Synodu Gnieźnieńskiego stało się dla mnie tak ważne, jako że tym samym znalazłem się w gronie osób zdaniem władz miasta dla Gniezna w szczególny sposób dla Gniezna zasłużonych. Warto podkreślić przy tej okazji rolę, jaką w pejzażu grodu św. Wojciecha spełnia Miejski Ośrodek Kultury kierowany przez Pawła Kustosiaka wspieranego przez pana posła Pawła Arndta, który swój honorowy patronat nad gale-

nią traktuje jako swoją wielką powinność a możliwość obcowania ze sztuką jest dla niego każdorazowo jakże ważnym doznaniem. Takie miejsca i tacy ludzie przywracają mi wiarę w prawdziwość sztuki i jej nieprzemijającą rolę. Goszcząc w Ostrowie czy Gnieźnie czuję bijący puls Wielkopolski z jej tradycyjnym umiłowaniem kultury i przenoszonych poprzez nią wartości – wyznaje artysta, któremu takie wizyty sprawiają za każdym razem wielką satysfakcję.

Tomasz DYMACEWSKI



Wernisaż w Gnieźnie. Roman Kosmała z małżonką w trakcie rozmowy z Pawłem Arndtem, posłem na Sejm

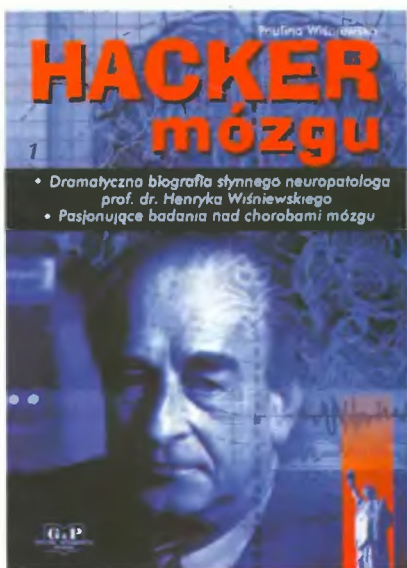


# Henryk Żeglarz

Portugalski infant, Henryk zyskał sobie przydomek Żeglarza, choć w swoim dość długim życiu najdalej dotarł do Ceuty. Rola jego polegała jednak na organizowaniu i planowaniu wypraw odkrywczych, które przyniosły Portugalii bogactwo i rangę jednego z mocarstw ery nowożytnej. Jaki ma jednak związek średniowieczny bądz co bądz książę z dynastii Avis z bohaterem kolejnej książki wydawnictwa G&P? Cóż, łączy ich nie tylko imię...

„Hacker mózgu” to literacki debiut Pauliny Wiśniewskiej, dziennikarki prasowej i telewizyjnej. Profesję autorki widać zresztą dość wyraźnie w sposobie relacji i kompozycji. Doświadczenie zawodowe pomogło jej zdynamizować przekaz dzieł bohatera. A bohater to nietypowy. Mimo, że naukowiec, typ uczonego nie tyle gabinetowego, ile raczej laboratoryjnego, Henryk Wiśniewski miał tak ciekawy życiorys, że mógłby nim obdzielić kilkunastu kolegów. Zanim na prawie ćwierć wieku osiadł na Staten Island, w Nowym Jorku, by kierować tam jednym z największych i najbardziej prestiżowych w USA instytutów neurologicznych, przeszedł długą, najeżoną wieloma przeszkodami drogę. O człowieku, którego karierę za granicą stawiano wręcz za wzór, o postaci niemal legendarnej nie tylko wśród uczonych polskiego pochodzenia pracujących w Wielkiej Brytanii i USA można powiedzieć, że był prawdziwym szczęściarzem. Czy rzeczywiście? Ile wyrzeczeń, głównie osobistych stało się udziałem profesora i jego bliskich! Od gorzkiego rachunku, jaki los wystawiał rodzinie Wiśniewskich w zamian za powodzenia książki ta również lojalnie wobec swego bohatera nie ucieka. Nie jest celem tej recenzji ujawnianie tego, co książki Pauliny Wiśniewskiej pozwala budować klimat zainteresowania, a nawet sensacji, przede wszystkim wobec badań profesora nad najsprawniejszym, ale i zarazem najbardziej skomplikowanym ludzkim organem – nad mózgiem. Henryk Wiśniewski stanął w szeregu pionierów badań neuropatologicznych mózgu. Prace nad wyjaśnianiem przebiegu, a zwłaszcza przyczyn choroby Alzheimera przyniosły Henrykowi Wiśniewskiemu nie tylko naukową satysfakcję, ale i szereg doznań wykraczających poza relację badacza i rozpoznawanego przezeń obiektu. Zafascynowany budową i organizacją pracy tego niezwykłego narządu, przeżył przy okazji szereg przygód: od niezamierzonego wszczęcia „alumiowej paniki” w krajach anglosaskich, po rozwiązanie tajemnicy sprawcy „choroby wściekłych krów”. Wystarczy nadmienić tylko o tym, by przekonać potencjalnego Czytelnika do pozycji bogatej nie tylko pod względem beletrystycznym, ale i naukowym.

Profesor Wiśniewski, „Henryk Żeglarz” po niezbadanych obszarach ludzkiego mózgu nie do-



czekał publikacji książki poświęconej jego życiu i pracy naukowej. Odszedł w trakcie prac wydawniczych, na kilka miesięcy przed ukazaniem się „Hackera mózgu” na rynku księgarskim. Wielka szkoda, że nie dane mu było doczekać pozycji, nad którą wytrwale, wraz z jej autorką pracował. Paulina Wiśniewska wielokrotnie, czy to w przedmowie, czy w treści książki przypomina, że jej współautorem i współtwórcą był sam profesor. Sądję, że z wyników swojej pracy byłby dziś zadowolony. Powstała bowiem rzecz nie tylko interesująca pod każdym z zamierzonych względów, ale i pozycja napisana rzeczowo i obrazowo, tak, jak potrafi to dziennikarz nie tylko znający, ale i kochający swoją profesję. To zaś stawia „Hackera mózgu” w liczbie pozycji skazanych na sukces, co z dużą satysfakcją i przekonaniem niniejszym potwierdzam.

(dym)

**Paulina Wiśniewska, Hacker mózgu,  
Oficyna Wydawnicza G&P, Poznań 2000,  
s. 150**



**T**eatrowi Animacji stuknęło... 55 lat! 30 kwietnia br. dziecięca widownia świętowała kolejny jubileusz tej sceny oklaskując jednocześnie 55 premierę dyrektora artystycznego Janusza Ryl- Krystianowskiego oraz 30 lecie pracy zawodowej dyrektora naczelnego Antoniego Kończala. Na urodzinowe przedstawienie wybrano znaną zarówno najmłodszej jak i nieco starszej publiczności opowieść A.A. Milhe'a o przygodach Kubusia Puchatka i jego wiernych przyjaciół, w reżyserii Janusza Ryl- Krystianowskiego.

Poznańska inscenizacja to spektakl pełen ekspresji, humoru, barwnych interpretacji postaci, wpadających w ucho piosenek i choreografii pełnej rozmachu i wigoru. Widać w niej doskonale zgrany zespół aktorski operujący znakomitym przygotowaniem wokalem, swobodą ruchu scenicznego i olbrzymim wachlarzem interpretacyjnym. Lalki wykorzystane w przedstawieniu to nie techniki typowe dla teatru lalkowego (pacynka, jawajka, marionetka) lecz pluszaki, które można znaleźć w niejednym dziecięcym pokoju. Jednak każda z postaci ma swój charakterystyczny ruch, głos, gest i temperament. Jest więc tu miły i naiwny lalkomczuch Puchatek, który marzy jedynie o tym by być ukochany „mjut” (bardzo ciepły i spokojny Grzegorz Ociełka); jest dowcipny, wesoły i nieco niezdarny prosiaczek (absolutnie gwiazdorska interpretacja Elżbiety Węgrzyn, pełna ekspresji, humoru, świetnych „gagów” scenicznych, doskonałej mimiki i olbrzy-

mich możliwości aktorskich!); pojawia się i znika skoczny Tygrysek (swobodny i radosny Piotr Grabowski), a cwany zajączek (w tej roli bardzo przekonująco intrygujący Marek A. Cyris) knuje ni stąd ni zowąd intrygę przeciwko kangurzycy (starecna Danuta Rej pełna matczynego ciepła). Wędrownie przyjaciele towarzyszy ospały i apatyczny Osiołek (świetny, lekko nieobecny Marcin Ryl-Krystianowski). Całość spektaklu urozmaica- na fantastycznymi piosenkami do muzyki Rober-

ta Łuczaka na tle oszczędnej i barwnej, stwarzającej miłą, kameralny klimat scenografii autorstwa Mikołaja Maleszy.

Premiera przygód Kubusia Puchatka nie była jedyną atrakcją jubileuszowego popołudnia. Po spektaklu oglądaliśmy wystawę zatytuowaną „Świat dziecięcych mi- siów” w aranżacji składały się piosenki Georgesa Brassaensa w wykonaniu aktorów Teatru Animacji.

Niewątpliwie jednak najmielszym momentem tego dnia były podziękowania dla obu dyrektorów teatru, aktorów i pracowników. W imieniu władz miasta składał je wiceprezydent Maciej Frankiewicz, a także przedstawicielka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z Warszawy. Nie zabrakło też kilku ciepłych słów dla obecnej na widowni byłej pani dyrektor Teatru Animacji, legendzie polskiego teatru lalkowego- Leokadii Serafinowicz. A potem już tylko dyplomy, gratulacje i kwiaty, kwiaty, kwiaty...

Iwona  
ŻYCHOWSKA

## Przygody Puchatka w Teatrze Animacji



Foto: M. A. Giermanow



## Pensjonat „Na Stoku”

ul. Skalna 4

58-540 Karpacz

tel. 075/ 761 81 90

tel./fax 075/ 761 98 21



# Jest we mnie coś z Vermeera

Rozmowa z poznańskim artystą malarzem Sławkiem Grodeckim

Nie lubi dziennikarzy. Kiedy nie tak dawno spotkał się z jedną z recenzentek pewnej gazety omal nie wyszedł w trakcie rozmowy z pracowni. „Niech pani nie odwraca głowy w drugą stronę kiedy mówię ponieważ nie czuję się słuchany! - Ależ ja pana słucham - odpowiedziała dziennikarka. - Jeżeli tak to proszę przynieść następnym razem dyktafon” - skwitował odpowiedź urażony lekceważącym zachowaniem Grodecki. Mając w pamięci opowiadaną anegdotę patrzę w oczy artysty z dużą uwagą i skupieniem słucham jego opowieści o malarstwie, Vermeerze i duszy.

Wchodzę do pracowni na trzecim piętrze i zastałem go przy pracy nad kolejnym obrazem Vermeera noszącym tytuł „Alegoria wiary”. Według Renoira to najpiękniejszy obraz świata.

- Jego oryginał znajduje się w Wiedniu - mówi Grodecki. To na prawdę coś wyjątkowego. Artyści wszystkich kontynentów jeździli do Wiednia niczym muzulmanie do Mekki by go obejrzeć. W rzeczywistości to ostatni obraz holenderskiego malarza. Zdziwia tym bardziej jego tematyka, bo chociaż Vermeer był katolikiem o czymś świadczy choćby katolickie pochodzenie jego imienia (Johannes) to za słynął poruszając w gruncie rzeczy tematy świeckie. Pełne ciepła, adorujące życie mieszczańskie i będące pochwałą ogniska domowego. Istotą jego malarstwa

jest romantyczność sytuacji czego dowodem są liczne sceny we wnętrzach o intymnym konterplacynym wręcz nastroju, jak również pejzaże miejskie („Widok Delft”, „Uliczka”).

„Alegoria wiary” to materialny dowód na katolicyzm Vermeera - mówi Grodecki. Świadczy o tym podstawowe elementy. Ukrzyżowany Chrystus, krzyż stojący na stole, czy choćby wąż, którego zinterpretować można jako absolutne zdepantanie grzechu.

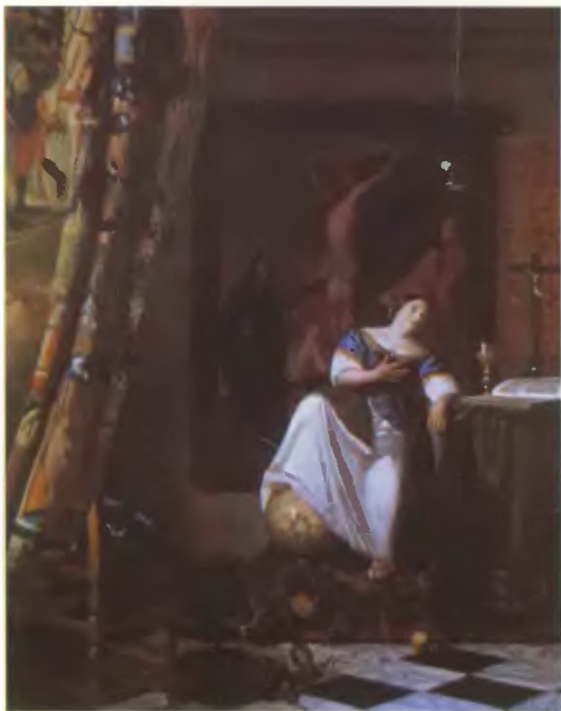
Zamówił go u mnie człowiek będący już trzecią kadencję radnym miasta Świnoujścia płacąc każdą cenę i przyjeżdżając kilkakrotnie do mojej pracowni nalegał bym namalował właśnie to dzieło Vermeera. Być może traktuje ten obraz jako kwintesencję całego swojego życia. Jako samoczyszczenie podobnie jak Vermeer - mówi

Grodecki. Mój radny jest zresztą absolutnym koneserem sztuki. Czytającym w wolnych chwilach filozofów, mający już w swojej kolekcji nie tylko osiem obrazów mojego autorstwa, ale także oryginał... pracy Henryka Siemiradzkiego zatytułowany „Salome tańcząca z głową św. Jana na tacy”. Takim ludziom nie odmawiam. Tacy mnie fascynują. Z takimi chętnie dyskutuję o wszystkich walorach sztuki. A wracając do Vermeera - mówi

Grodecki. - Jest on według mnie największym obok Rembrandta malarzem świata. Dlatego zabierając się do pracy nad moim dziełem



działem wgłębiał się w nie na nowo, analizując szczególnie i drobniaczko. Rozpatruję życie Vermeera od narodzin aż do śmierci w wielu kategoriach zatrzymując się w momencie, w którym akurat malował dany obraz. Wczytyuję się w osiągnięcia literackie na jego temat. Uważam bowiem iż cała tajemnica sztuki malarskiej tkwi nie w tym jaką farbą czy pędzlem malujesz, ale w tym czy wchodzisz w konkretny obraz całym sobą, czy naprawdę go czujesz, czy wiesz na pewno co malujesz. To jest największą istotą i stanowi zasadę, której jestem wierny całej życie. Grodecki umiował sobie najbardziej malarstwo holenderskie i hiszpańskie. Całkowicie oddany Vermeerowi do największych zalicza również Hals'a i Velazquez'a, obok Rembrandta. W jego obrazach widać ogromną wrażliwość delikatność, miękkość. Czuję się w nich wycyzelowany, szczególnie absolutną doskonałością warsztatową. Tchną wręcz mistycznym, bo sam twierdzi, że jest nim coś z mistyka.



Prof. A. i M. Woźniak





# Nowości

## wydawnictw poznzańskich



### Media Rodzina

ul. Pasieka 24

61 – 657 Poznań

tel. 820 34 75, fax 820 34 11

e-mail: [mediarodzina@mediarodzina.com.pl](mailto:mediarodzina@mediarodzina.com.pl)

### Harry Potter i kamień filozoficzny

Zanim Wydawca zakończył proces przygotowania tej książki, w polskiej prasie pisano sporo o Joanne K. Rowling. Może nie tyle o samej autorce

– młodej matce z Edynburga, która rozpoczęła – tak jak rosyjski poeta Sergiej Jesienin – od pisania na serwetce w restauracji, ile bardziej o fenomenie Harry Pottera. Wszystkie książki z serii o młodocianym czarnoksiężniku wspięły się na szczyty list światowych bestsellerów. Zachwycają się nim dzieci – to całkiem

naturalne – bo przecież taka literatura

przeznaczona jest dla nich ale i dorośli, którzy podczytują opowieści o Harrym Potterze ukradkiem. Z dwóch przyczyn. Po pierwsze, nie chcą wypaść błado w oczach dzieci warto więc dowiedzieć się jak najczęściej o ukochanej przez milusińskich postaci. Po drugie – im samym pisarstwo Joanne Rowling się podoba. Jest to bowiem świat fantastyczny przedstawiony z wdziękiem i talentem, jakiego literatura anglosaska nie zaznała od bardzo dawna.

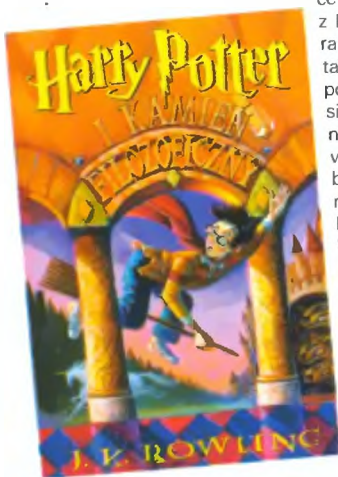
Zatem „Harry Potter i kamień filozoficzny”. To pierwsza część opowieści, w której poznajemy naszego bohatera i zarazem dowiadujemy się, w jaki sposób znalazł się w rodzinie Dursley’ów – klasycznych Muggle. Okropni egoiści, bez odrobiny fantazji, nerwowi a dla Harrygo Pottera, sieroty, którego przygarnęli wbrew swojej woli okazują się wyrodnymi opiekunami. Harry – dziecko siostry pani Dursley, zawsze i wszędzie na drugim miejscu po swoim kuzynie – wyrośniętym i

głupawym a na dodatek złośliwym sobku nie miał łatwego dzieciństwa. I nic dziwnego, skoro wszędzie – i w domu i w szkole – działo się wokół niego mnóstwo rzeczy, których nikt nie potrafił racjonalnie wyjaśnić. Dopiero gdy Harry zaczął otrzymywać tajemnicze listy a ktoś Stamtąd przybył, by go wesprzeć, okazało się, że Harry Potter jest potencjalnym kandydatem na czarnoksiężnika. I to nie było jakim. Drobniego i zastrachanego Harry Pottera zaszczyca swoją nienawiścią Sam – Wiesz – Kto czyli Voldemort, którego imienia Harry nie boi się wypowiadać w przeciwieństwie do większości swoich kolegów i nauczycieli ze szkoły czarnoksiężstwa, do której wreszcie trafia. Nie jest tam nikim anonimowym. Przeciwnie – wszyscy otaczają go wielkim – nieproporcjonalnym do jego wzrostu i zasług – szacunkiem. Jako roczny osesek Harry stawiał bowiem czoła samemu Volemortowi i wyszedł z tego obronną ręką, jeśli nie liczyć dziwnej blizny na czole w kształcie błyskawicy. To, że Harry jest tak znany nie daje mu okazji do taryfy ulgowej w szkole w zamku Hogwart. Wręcz przeciwnie, musi się napracować bardziej niż inni. Musi też udowodnić sobie i innym, że godnym jest Potterów – wielkich czarnoksiężników, których nazwisko nosi...

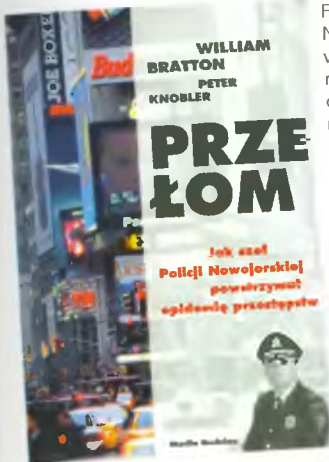
Rzecz kończy się dobrze. To przecież bajka, czyli opowieść z morałem. To jednak bajka co najmniej urokliwa, nie uciekająca w wymaginowane światy a zakładająca istnienie świata równoległego, w którym tysiące czyniących czary kobiet i mężczyzn schroniły się przed wpływami świata Muggle – ludzi normalnych i przyziemnych. Gdzieś tu właśnie, w zakamarkach naszej podświadomości akceptującej dobry świat czarów kryją się źródła sukcesów pisarstwa Joanne Rowling u współczesnych. Dzieci i dorośli. Także w Polsce. Czekamy z niecierpliwością na dalszy ciąg przygód czarodzieja z błyskawicą na czole...

### Przełom

Do tego nas dotąd wydawnictwo Media Rodzina nie przyzwyczajało. Zawsze jednak musi być ten pierwszy raz. Dobrze się stało, że na debiut tej galeji problematyki społecznej wybrano tak interesującą i wartościową książkę. Napisał ją William Bratton przy udziale Petera Knoblera. Bratton znany jest w USA od kilkunastu lat nie tylko jako wzorowy gliniarz, ale wręcz gliniarz – cudotwórca. Przez dwadzieścia siedem miesięcy stał na czele nowojorskiej policji. W tym czasie w metropolii, w której niebezpiecznie było przemieszczać się nie tylko o zmroku, ale i w biały dzień zaczęły dziać się cuda. Liczba przestępstw we wszystkich kategoriach zaczęła raptownie spadać. Doszło do tego, że Nowy Jork zaczął „wyrabiać” dwie trzecie wskaźnika ograniczenia przestępczości w całej USA. W książce „Przełom” William Bratton opowiada, jak udało mu się osiągnąć w krótkim czasie tak zdumiewające wyniki. Nie owijając w bawełnę określa też, ile do tego koszyka zasług włożył własnych owoców charyzmatyczny burmistrz Nowego Jorku –







Rudolf Giuliani. Nawiąsem mówiąc – Giuliani nie zyskał w osobie Brattona kolejnego apologety. I chyba słusznie. Z „Przełomu” widać jasno jak na dłoni, na ile burmistrz potrafił swoje własne zasługi wesprzeć umiejętnie przeprowadzoną kampanią medialną.

Niepowodzenia, które ostatnio stały się udziałem Giulianiego wykluczając ambitego polityka z ubiegania się o fotel senatora z ramienia stanu Nowy Jork to rodzaj sprawiedliwości losu, który oddał sprawiedliwość innym autorom sukcesu programu bezpieczeństwa nowojorskiej metropolii. Przede wszystkim zaś Williamowi Brattonowi.

Nie powinienem tutaj opisywać szczegółowo metod pracy człowieka, dla którego praca w policji była życiowym powołaniem. Starczy, gdy powiem, że klucz do sukcesu, gdziekolwiek Bratton uruchamiał swoje nieprzeciętne zdolności tkwił w trzech podstawowych segmentach poczyni. Po pierwsze – reorganizacja policji. W ramach tego obszaru szef wprowadzał rygorystyczną dyscyplinę w szeregach swoich podkomendnych. Nawet za cenę konfliktu ze związkami zawodowymi policjantów. Bratton jednak, w odróżnieniu od wielu innych decydentów rozumiał, że obok przestrzegania dyscypliny podwładnym należy zapewnić godziwe warunki pracy i odpoczynku. Stąd uwięzione na ogół powodzeniem starania o nowy, lepszy sprzęt i bezwzględna walka o poprawę warunków społecznych i bytowych. To z nawiązką wyrównywało rygorystyczne wymagania.

Segment drugi to całokształt działań związanych z organizacją pracy. Wszędzie, gdzie trafiał Bratton pojawiały się na ścianach precyzyjne mapy podlegającego mu terenu wraz z zaznaczeniem sił i środków, które pozostawały w jego dyspozycji z jednej, a miejscami szczególnie zagrożonymi przestępczością z drugiej strony. Regularne odprawy, na których z uwagą wysłuchiowano podkomendnych i naklaniano ich do zabierania głosu uświadamiały wspólnotę celu i pozwalały na elastyczne reagowanie niezależnie od rozwoju sytuacji. Co więcej, w szeregu sytuacji trudnych szef policji stawał po stronie swoich podkomendnych, często i gęsto, zwłaszcza w konfliktach z nowojorskim ratuszem nadstawiając własnego karku.

Wreszcie Bratton z żelazną konsekwencją wy-

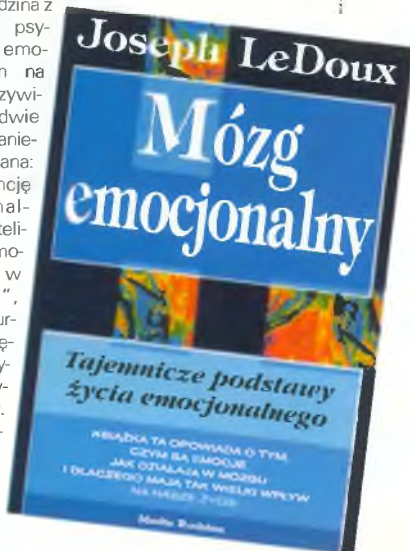
magał zbliżenia swoich podkomendnych z mieszkańcami rejonów, które winni ochraniać. Dążył do tego, by w społeczeństwie rodziło się oddolnie zaufanie do policji. Wymagał, by miast lotnych patroli, z których wszak generalnie nie rezygnowano, osobą najbliższą grupie mieszkańców stał się „ich” policjant. Taki, którego by znali, i do którego nabrałoby zaufania.

Są to metody, zdawałoby się proste i stare jak świat. To prawda, niemniej by je wcielić w życie potrzeba sporo dobrej woli i jeszcze więcej samozaparcia ze strony stróżów prawa. W systemie, jaki proponował Bratton nie było miejsca na normowany czas pracy. Nie było też miejsca na sentymenty dla starych, zasłużonych pracowników policji, którzy nie potrafili odnaleźć się w nowej sytuacji. Znakomita większość policjantów zaakceptowała metody swego szefa i obdarzyła go zaufaniem. Źródło sukcesów niekonwencjonalnego policjanta tkwiło w umiejętności rozmowy z podwładnymi, w możliwości dotarcia do społeczeństwa, w wykorzystywaniu nowoczesnych środków technicznych w pracy a także w umiejętnym kształtowaniu wizerunku policji w mediach.

William Bratton zrobił prawdziwie międzynarodową karierę. Również w Polsce książka przezeń napisana spotkała się ze sporym zainteresowaniem policji, która wydaje się być skora do sięgnięcia do skarbnicy wiedzy super gliniarza. Dalkie to może od schematów, jakie narzuciły naszej wyobraźni filmy sensacyjne z udziałem gwiazd kina. Prawda jest znacznie bardziej prozaiczna. Zło czai się wszędzie i odrasta jak hydra. Bratton dowodzi jednak, że można je pokonać, a przynajmniej osłabić. Sukces nie przychodzi łatwo, jednak jest w zasięgu ręki. Wystarczy tylko bardzo tego chcieć...

## Mózg emocjonalny

Cóż jeszcze może przebić hity wydawnictwa Media Rodzina z dziedziny psychologii emocji? Mam na myśli oczywiście dwie książki Daniela Golemana: „Inteligencję emocjonalną” i „Inteligencję emocjonalną w praktyce”, które szturmem wzięły polski rynek wydawniczy. Nic dziwnego, bo w i e m głód wiedzy na-





szego społeczeństwa w tej dziedzinie był zaiste nienasycony. Przy tej okazji powstał również rodzaj niepisanej umowy pomiędzy czytelnikami i wydawcą: – Dajcie nam jeszcze coś z tej dziedziny – mówili czytelnicy – a my to kupimy. Wychoząc naprzeciw oczekiwaniom Media Rodzina przygotowała i wydrukowała książkę „Mózg emocjonalny”. Mamy tu do czynienia z innym autorem. To Joseph LeDoux profesor uniwersytetu w Nowym Jorku, uznany autorytet w dziedzinie badań mózgu ludzkiego. Autor wprowadzie inny, lecz temat dziwnie nam bliski. Trochę przypomina to opowieści Stevena Spielberga o Indianie Jonesie. Najpierw była część pierwsza opisująca przygody sympatycznego archeologa w roku 1936 potem powstała kontynuacja lecz opisująca sytuację z roku poprzedniego. I tak się też przedstawia sytuacja z książkami Golemana i pracą LeDoux. Po opisanie pewnego zjawiska z dziedziny ścisłych umiejętności ludzkich cofamy się do punktu wyjścia. Ten punkt to niewielkie ale cudownie precyzyjne urządzenie, które jakimś trafem znalazło się w naszej głowie. Czy umieścił je tam Dobry Bóg, czy ktokolwiek inny, pozostaje faktem, że TO działa i w sposób decydujący wpływa między innymi na kształt i poziom naszej inteligencji.

Książka Josepha LeDoux realizuje jednak konkretne zapotrzebowanie odbiorcy. Autor przedstawił nam zatem w przystępny i frapujący sposób to, co umyka naszej wyobraźni. Oto przedstawia nam zasady rządzące podstawową niekonsekwencją naszego mózgu – możliwością wyrażania emocji. Jako wytrawny znawca zagadnienia LeDoux nie zamierza nas oszukiwać. Dowodzi nam, że emocje należą do tej kategorii procesów, które nie pozostają w ścisłej korespondencji z podstawowymi funkcjami mózgu. Przynajmniej nie w taki sposób i nie w takim stopniu, w jakim byłibyśmy w stanie przyjąć w oparciu o dotychczasowy stan naszej wiedzy. LeDoux na blisko czterystu stronach cierpliwie tłumaczy nam, jak to się dzieje, że w naszym mózgu co pewien czas dochodzi do samozapłonu, nad którym w stopniu racjonalnym nie jesteśmy w stanie sprawować kontroli. Ten specyficzny samozapłon to właśnie nasze emocje. Są prawdziwe, w najlepszym razie sięgają epoki wczesnego dzieciństwa, której pamiętać nie możemy. To jednak tylko część z nich i to część niewielka. Prawdziwą kopalnią emocji jest nasz system nerwowy, w którym głęboko wyryte, spoczywają od zarania dziejów wpisywane coraz to nowe informacje wywołujące w efekcie niekontrolowany odruch przewagi emocji nad rozsądkiem. Joseph LeDoux pracował nad swoją książką przez wiele lat. Toteż zawiera ona to wszystko, co w dziedzinie badań nad mózgiem uczyniono

w toku ostatniej dekady. A przyznać trzeba, że dla naszej wiedzy były to lata przełomowe. Nie zawsze potrafimy kontrolować nasze emocje i zapewne nigdy nie zdołamy nad nimi w pełni zapanować. Warto jednak, a nawet trzeba wiedzieć co tam w mózgu piszczy czyli co się w rzeczywistości dzieje pod tym dachem. A w tym zbożnym dziele książki Josepha LeDoux okazą się nam pomocą nieoceniona.

## Yzysk i S – ka Wydawnictwo s.c.

ul. Wielka 10, 61 – 774 Poznań  
tel./ fax. 853 27 51, 853 27 67  
fax. 852 63 26

### Cztery eseje o wolności

Życie Isaiaha Berlina nie toczyło się w zaciszu gabinetu. Poddany presji czasu i stulecia, w którym uczył najpierw siebie, potem innych, stał się świadkiem wydarzeń o znaczeniu przełomowym. Między innymi rewolucji i kilku wojen. Zanim profesor teorii społecznych i politycznych otrzymał katedrę w Oksfordzie i tytuł szlachecki stał się autorem znanym i cenionym. Jednym z ojców światowej politologii – dziedziny wiedzy akademickiej, która straciła nieco blasku wskutek upadku Muru Berlińskiego, wciąż jednak ma się dobrze.

Gdy Isaiah Berlin wygłaszał ostatni z wykładów, które złożyły się na treść „Czterech esejów o wolności” świat łapał właśnie oddech po stalinizmie nie wiedząc, że za chwilę zadławi go parokszizm kubański. Książka stała się wymiernym dokumentem epoki, którą dziś wspominamy jako w miarę odległą historię. Z tym większym zainteresowaniem powraca się do Berlina i jego myślenia o wolności. Wygłaszał swoje wykłady, potem zaś nadawał im kształt literacki niemal nazajutrz po zakończeniu II wojny światowej. Poszczególne eseje dzieli jednak spory przedział czasu. Nie jest to wynikiem świadomego wyboru ich autora. Choć, w jakiejś mierze, wydarzenia rozgrywające się współcześnie zdefiniowały kształt i tematykę wywodów znakomitego politologa. Twórcze uderzenia adrenaliny z pewnością ubarwiły wywody, dodały im tak cenionego przez czytelnika ciśnienia myśli.

„Cztery eseje o wolności” rozpoczynają się od wstępu, który jest właściwie kolejnym esejem, kto wie, czy nie jednym z lepszych w całej książce. Berlin próbuje tu odpowiedzieć na pytanie czym i dla kogo jest wolność. Nie wchodząc w szczegóły, do których odsyła czytelnika pragnącego uporządkować sobie – przy pomocy sprawnego i nowoczesnego narzędzia, jakim jest



ta książka – własne rozumienie wolności, jej podstaw i przesłanek. Chciałbym jednak podkreślić wprost genialne wyczucie znakomitego uczonego, z jakim obnaża lichotę – w zakresie wolności właśnie – wszelkich totalitaryzmów. Rolę nieszczytnych modeli spełniają rzecz jasna skrajne patologie – ZSRS pod rządami Stalina i III Rzesza Hitlera. Wystarczy jednak zajrzeć pod ten historyczny kostium by ujrzeć coś ciekawego, współczesnego a nawet niezbyt odległego od miejsca, w którym sięgamy po „Cztery eseje o wolności”. Z tą właśnie myślą zostawiam P.T. Czytelników sam na sam z Isaiahem Berlinem i jego wywodami. To wszak elementarne podstawy wiedzy o społeczeństwie. I o nas samych....

## Ramzes: t. I Syn Światłości, t. II Świątynia milionów lat

Nie są to nowości czytelnicze, część z Państwa miała być może te książki w ręku, a są może i tacy, którzy posiadają oba tomy powieści Christiana Jacqua w swoich domach. Powieści, albowiem koleje życia faraona Ramzesa II znamy tylko z tych źródeł, które pozostawił on sam, bądź sprostowali jego wrogowie. Tych nie brakowało; zarówno wśród współczesnych, jak i – o dziwo – potomnych. Najbardziej znany i popularny z faraonów bywa oskarżany o to, że utrzymując Żad Nilu w stanie permanentnego zagrożenia za pomocą osłabiał państwo wewnętrznie i przyczynił się wielce do jego schyłku. Do tej pory dzięki Wydawcy poznaliśmy dwa pierwsze tomy pięcioksięgu Jacqua opowiadające o młodości sławnego potem władcy. Póki co jest to wyportowany mężczyzna o żywej inteligencji, chłoniący z równym zapalem wiedzę, jak i doświadczenia polityczne. Jeśli pragniemy doszukać się źródeł sukcesu, jaki osiągnął Christian Jacq dzięki powieściom o Ramzesie, musimy podkreślić, z jaką pieczołowitością i znanstwem odtworzył realia epoki. Do tego natura obdarzyła go umiejętnością obiektywnego, chłodnego wręcz prowadzenia narracji, w czym specjalizował się jeden z jego sławnych rodaków i poprzędników – Aleksander Dumas –

## CHRISTIAN JACQ RAMZES SYN ŚWIATŁOŚCI



ojciec. Egipt jest tu ubraną w kostium historyczny Francją, co łatwo mogło zdarzyć się każdemu, kto uprawia powieść historyczną – ową retrospektywną science fiction. Jakże często zaskakuje nas, nawet bawi naiwność Ramzesa i jego adherentów. Zacho-

dzimy na przykład w głowę, dlaczego zawistny brat Szenar nie zgładzi po prostu młodego i ambitnego Ramzesa, który nie kryje bynajmniej, co sądzi o swoim najbliższym krewnym. Otóż autor przekonuje nas, że było to wówczas niemożliwe. Przy-

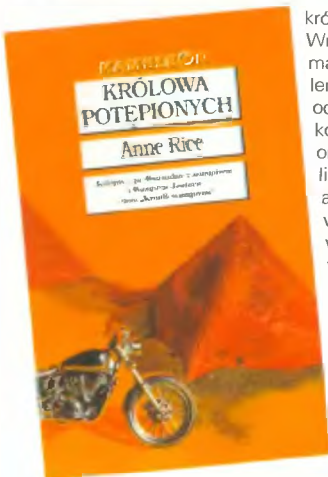
zwalając na zgładzenie brata, Szenar zgubiłby swą nieśmiertelną duszę. Na to nie mógł zdobyć się nie dlatego, że był człowiekiem słabym, lecz przede wszystkim dlatego, że jak większość mu współczesnych traktował poważnie swoich bogów i swoją religię. Z takich właśnie dziwnych dla nas, a oczywistych dla ówczesnych ludzi spraw zbudowane są książki świetnego francuskiego pisarza historycznego. Wolne od naleciałości epoki, w której powstały, obiektywnie relacjonują świat Nowego Państwa. Może bardziej naiwny, za to zdrowszy, kierujący się moralnością, jaka i dziś uczy. Wielka w tym zasługa autora a zarazem niski pokłon przed Wydawcą za kolejne tomy „Ramzesa”, które znalazły się już w sprzedaży.

## Królowa potępionych

Któż nie oglądał „Wywiadu z wampirem” ze znakomitymi rolami Toma Cruise i Brada Pitta? Cruise jako Lestat stworzył wizerunek pełnokrwistego wampira. Okrutnego, sztychowego, władcęgo, ale przy tym wszystkim niesłychanego kabo-tyna. Taki też był Lestat, jakiego wyczerpała swoim piórem Anne Rice – autorka „Wywiadu z wampirem” i „Wampira Lestata”. Wampirza tematyka jest o tyle niebezpieczna, że łatwo popaść tu w kicz albo śmieszność. Ostatecznie niewielu wierzy już w zło wysysające krew z ludzi i zamieniające się w proch pod wpływem światła słonecznego. Jednak Anne Rice odniosła sukces i to nie tylko pierwszą powieścią. Jakaś część tajemnicy tkwi tu w postaci głównego bohatera. Lestat jest uosobieniem zła, ale też i swistego, perwersyjnego wdzięku, któremu oprzeć nie mogą się ludzie nawet mocno stąpający po ziemi. W „Królowej potępionych” posuwamy się wraz z pisarką krok dalej – Lestat odnosi sukces w świecie „zwykłych” ludzi. Zostaje gwiazdą rocka. Jego songi budują swoistą atmosferę. Bez żadnych zahamowań obnaża tajniki świata nieśmiertelnych – świata wampirów. Pieśni poruszają i ludzi i wampiry. I jeszcze kogoś. Po sześciu tysiącach lat Lestat budzi ze snu pramatkę –







królową Aksahe. Wraz ze swoim małżonkiem Enkilem tworzą parę, od której wszystko się zaczęło. To oni pierwsi wypili cudzą krew, aby zyskać siły vitalne i to wszystko, co wciela się w duszę wampira. Ich własna krew dla potomstwa jest czymś niezwykłym – okazją do bycia równym bogom, a

może do zawładnięcia światem?

A cóż stało by się wówczas, jeśli jedno z bóstw napelniło się krwią swego współmałżonka? Wówczas potęgą osiągnęła by trudną do oszacowania kumulację. Akasha wypija i wyrusza na wielką wyprawę. Czy chce dopaść Lestata i zniszczyć go w odwecie za ujawnienie prawdziwych tajemnic wampirów? A może chodzi o coś innego, może intencje Akasy są głębsze, a poprzez to zagrażające całej ludzkości? Odpowiedzi nie podamy tutaj, by nie pozbawiać czytelników przyjemności obcowania z książką Anne Rice. Dodać trzeba jednak tutaj, że nie wszystkie wampiry są takimi, jakimi się wydają. Kiedyś to też byli ludzie i być może coś z tej odległej ludzkiej przeszłości w nich pozostało? Zatem czy Akasha może wygrać, czy zdoła wykonać swój, z boską perwersją przygotowany plan? Odpowiedzi poszukajcie Państwo w „Królowej potępionych”

## Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu

ul. Prusa 3, 60 – 819 Poznań  
tel. 847 20 11, 847 22 11  
fax 847 20 19

### Stanisław Mikołajczyk - w służbie Polski

Wydawca przygotował i udostępnił Czytelnikom materiały z sesji naukowej poświęconej życiu i działalności politycznej Stanisława Mikołajczyka. Trzeciego i czwartego czerwca w Poznaniu odbyły się uroczystości pogrzebowe wielkiego formatu polskiego polityka i jego żony Cecylii. Tym samym dokonął się akt sprawiedliwości dziejowej. Najbardziej charyzmatyczny – obok Włodzimierza Witosy – działacz ruchu ludowego powrócił

tu, skąd przed laty rozpoczął swą wędrówkę ku wielkości.

O Stanisławie Mikołajczyku niewiele dotąd napisano. O wiele mniej, niż tej postaci należy się od wdzięcznych potomnych. Na całe szczęście w stolicy Wielkopolski właśnie – tu więc, gdzie pamięć Stanisława Mikołajczyka znaleźć powinna osobliwy rezonans powstało w grudniu 1988 roku Towarzystwo Jego imienia. Pod przewodnictwem prezesa Zarządu, Edwarda Dębowskiego Towarzystwo imienia Stanisława Mikołajczyka dokonało rzeczy niezwykłej. Najpierw wniesiono pomnik Patrona przy Alei Niepodległości, potem, po jedenastu latach wytrwałych starań, uzyskano zgodę na sprowadzenie prochów Stanisława Mikołajczyka i jego żony z USA do Polski. Uroczystości z tym związane, dla wielu Wielkopolan, także i tych młodszych stały się powodem, by jeszcze raz, głęboko, przeżyć wzruszenie a nawet dumę z tego kawałka Polski, który jest naszym domem.

Uroczystości „mikołajczykowskie” posiadały również swą warstwę historyczno – naukową. Książka poświęcona sesji jest tego ważnym dowodem. Zawarte tu artykuły nie są z pewnością jednolite w formie. Część badaczy skoncentrowała się na życiu Stanisława Mikołajczyka w przełomowych momentach jego służby Narodowi: jako premiera rządu emigracyjnego w Londynie czy heroicznego wicepremiera rządu „lubelskiego” Poruszono również najbardziej dramatyczny frag-

ment biografii S. Mikołajczyka, gdy zagrożony aresztowaniem, a zapewne i wrokiem śmierci podjął decyzję o opuszczeniu kraju.

O ile fakty te są dość szeroko znane, o tyle część tekstów zamieszczonych w książce skupia się bardziej na kolorystyce

epoki i układzie sił społecznych, na tle których rysowała się sylwetka bohatera sesji – w gruncie rzeczy wielkiego samotnika pod niemal każdym względem przerażającego współczesnych. Książka przygotowana i opracowana przez profesora Kazimierza Robakowskiego przy udziale prof. prof. Marceliego Kosmana i Bogdana Koszala jest cenną pozycją, oby otwierającą naukową „modę” na badania nad postacią Stanisława Mikołajczyka jak i czasów, w których przyszło mu żyć i pracować dla dobra Polski.



# Informatory:

**Adresy Instytucji Kultury Województwa Wielkopolskiego, Stowarzyszenia Kulturalne, Regionalne, Społeczne Województwa Wielkopolskiego, Zespoły Folklorystyczne Województwa Wielkopolskiego, Kalendarz Imprez Kulturalnych Województwa Wielkopolskiego 2000**

Zechcą wybaczyć Państwu, że sprowadziłem do wspólnego mianownika dwie serie wydawnicze, różniące się już na pierwszy rzut oka szatą graficzną. Niechże tłumaczy mnie to, że nie wyobrażam sobie kulturalnego Wielkopolanina, który nie posiadałby pod ręką całego zestawu czyli wszystkich czterech, wymienionych tu pozycji. O ile Kalendarz Imprez Kulturalnych stał się już dobrą, abstrahując od tego, że po prostu potrzebną pomocą informacyjną, o tyle informatory, a właściwie wielce rozbudowane spisy adresowe całego województwa wielkopolskiego są rzeczą nową. Nową, a jakże niezbędną! Starannie wydane, zawierające nie tylko podstawowe, ale znacznie rozbudowane dane, bez których nie sposób się obejść w próbach nawiązania kontaktu z kimkolwiek z obszaru młodego, bądź co bądź województwa, stały się przykładem dobrej roboty, z której Wydawca zawsze słynął, a która najlepiej świadczy o naszej solidności. Mało tego, jest to dobra robota z polotem, a to już chyba idealny układ. Kilku rzeczy może i województwu wielkopolskiemu nie dostaje, z pewnością jednak nie informacji kulturalnej na wysokim poziomie. Obok gratulacji dla Wydawcy szczerze pragnienie „Pegaza” aby „tak trzymać”.

## Kronika Wielkopolski

Rozpoznawalna dzięki niezmiennie od lat winiecie tytułowej. Ukazywała się w czasach dla regionu gorszych i lepszych. Z Wielkopolanami była zawsze i wciąż z tym samym komitetem redakcyjnym i stabilną redakcją. Wytworzyła się tradycja czytania, a nawet komentowania „Kroniki”, która jest żywym obrazem nie samych działań, ale i trendów w życiu kulturalnym i społecznym Wielkopolski. Zdawać by się mogło, że po reformie administracyjnej i powstaniu na powrót dużego województwa, charakter „Kroniki” zmieni się nieco. Tak się nie stało, chyba słusz-



nie. Województwo Wielkopolskie nie powstało z niebytu. Wielorakość tradycji, odrębność poszczególnych obszarów w ramach tego samego regionu, miejsca gdzie pracuje się inaczej, a zatem w sposób warty upowszechnienia, wreszcie nostalgiczna zaduma nad przeszłością, wszystko to obok cennych i wnikliwych artykułów strictly naukowym składa się na jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny kształt tego periodyku, odnotowując ukazanie się numeru drugiego w tym roku, a ogólnej edycji – dziewięćdziesiąty czwarty, tym razem w znacznej mierze poświęcony ziemi kaliskiej i ostrowskiej stwierdzić muszę, że mało które pismo tak pięknie i – nie bójmy się tego określenia – rasowo potrafi zadbać o dorobek Wielkopolski. Na chwałę regionu i jego mieszkańców.

(Przeczytał: dym)







# młode wilki

Z daleka słychać brzęk stali i bojowe okrzyki. Podchodząc bliżej można zauważyć walczących młodych mężczyzn ubranych w stroje z X wieku. Tuniki obszyte krajkami, wisiorki, amulety, skórzane kaftany, kolczugi, rękawice czepce i hełmy piastowskie z czubami. Wojownicy walczą na topory i miecze. Potyczki wyglądają tak realistycznie, że odnosi się wrażenie jakby toczyła się prawdziwa walka na śmierć i życie. Z głośników słychać muzykę zagrzewającą do walki. Widzowie są zachwyceni, biją brawo i dopingują walczących. Takie emocje towarzyszą wszystkim pokazom bractwa Wataha - Wilcze Kły.

Na codzień członkowie bractwa uczą się, studiują, pracują lecz w każdą niedzielę jednak spotykają się na treningach by doskonalić kunszt wojenny.

*- Wszystko zaczęło się siedem lat temu- przypomina sobie Gorewoj - Spotkaliśmy się z kolegami i postanowiliśmy walczyć na miecze. Wtedy jeszcze nie przebieraliśmy się w stroje z epoki ani nie wgłębialiśmy się w historię. Była to dla nas tylko zabawa. Pociągająca i bardzo niebezpieczna, bo walczyliśmy na ostre, ciężkie miecze do tej pory mam jeszcze blizny po pierwszych naszych próbach.*

Walka przy pomocy tak ciężkiej broni wymaga umiejętności, ale i też sprawności fizycznej, dlatego też członkowie bractwa systematycznie ćwiczą. Doświadczeni wojownicy uczą początkujących podstaw fechtunku najpierw walcząc na

kije a dopiero później na miecze i topory. Wiele emocji wzbudza także nauka strzelania z łuku. Aby dostać do ręki prawdziwą broń, trzeba zdać najpierw egzamin przed starszą bractwa. Jeżeli ktoś nie zda egzaminu jest wydalany z bractwa.

*- Na początku byliśmy zrzeszeni w bractwie „Najemna Wolna Kompania”- mówi Gorewoj. - Wtedy też zaczęliśmy przebierać się w stroje z epoki średniowiecza i wyjeżdżać na turnieje. Nadal najważniejsza była dla nas sama walka choć staraliśmy się dowiedzieć jak najwięcej o dawnym uzbrojeniu i obyczajach. Z biegiem czasu postanowiliśmy założyć jednak własne bractwo, które rządziłoby się naszymi własnymi regułami.*

W Polsce można wyróżnić dwa rodzaje bractw: rycerzy i barbarzyńców. Grupy te różnią się między sobą nie tylko stylem walki, ale też strojami i filozofią.

Na czele większości bractw w Polsce stoi hegemon, który zarządza całym bractwem. W grupie Watahy zachowany jest podział hierarchiczny. Każdy z jej członków jest za coś odpowiedzialny. Na czele watahy, stoi starszyzna, którą tworzą doświadczeni wojownicy - podział ten zaczerpnięty jest ze słowiańskiego modelu plemiennego.

*- Pragniemy przybliżyć kulturę słowiańską z czasów wczesnego średniowiecza, obejmującą okres przed powstaniem państwa Mieszka I. Wyjaśniamy również widzom oglądającym nasze pokazy, że są to czasy w których na ziemiach polskich nie istniało rycerstwo oparte na regułach istniejących w kręgu kultury łacińskiej Europy- mówi Wilczan jeden z założycieli bractwa.*

Wataha Wilcze Kły należy do tych nielicznych bractw w Polsce, do których należeć mogą również





# W STARYM STYLU



kobiety. - *We wczesnośredniowiecznej kulturze słowiańskiej kobiety też walczyły - mówi jeden z wojowników. - Zachowały się przekazy mówiące, że podczas napadów wrogiego plemienia, kobiety ściągały cepami jeźdźców z koni, dlatego też wszyscy u nas są równi, ale też przed każdym stawiamy wymagania- dodaje jeden z członków starszyzny.*

Walkę trzeba traktować poważnie bo może być niebezpieczna: złamanie i stłuczenia to jedne z najczęstszych kontuzji.

Bractwo Wataha Włcze Kły często wyjeżdża na turnieje oraz bierze udział w pokazach. Są stowarzyszeniem posiadającym uprawnienia do organizowania imprez i festynów. Od kilku lat jeżdżą na turnieje do Bytowa i Brodnicy biorą też udział w Festynach Archeologicznych w Biskupinie.

- *Podczas naszych pokazów staramy się przybliżyć widzom naszą rodzimą kulturę z czasów przedpiastowskich. Dlatego też często w przerwach pomiędzy walkami czytane są fragmenty kronik.*

Bractwo aby urozmaicić występy stara się również przedstawia jakąś opowieść. Dlatego do też czasami jest to słowiańskie wesele czyli swadźba, innym razem potyczki o odbicie jenców wojennych.

- *Jesteśmy zafascynowani kulturą słowiańską i chcielibyśmy „zarazić” tym również innych - tłumaczy Spitigniew.*

- *Staramy się żyć zgodnie z prawami natury bo przecież jesteśmy częścią przyrody bez której nie moglibyśmy istnieć - mówi Gorewoj. Ważna jest dla nich także praca. Dbanie nie tylko o rozwój fizyczny ale i też o intelektualny. - Wszystko to aby jak najlepiej służyć Ojczyźnie - wyjaśnia Włczan.*

Agata SZESKA





# Klasyczne duszenie w śmietanie

Na Dużej Scenie Teatr Nowy kończy sezon „Iwona księżniczka Burgunda” Witolda Gombrowicza. Jeśli mierzyć żywot teatru oryginalnością dokonań i twórczymi poszukiwaniami, mamy tu do czynienia z klasyką. Bo czy Gombrowicz nie stał się kimś w rodzaju polskiego klasyka XX wieku? Interpretowany w różny sposób, przez zespoły o różnym poziomie artystycznym, nicowy na wszelkie strony przez krytyków i wieszczów Gombrowicz – jak trafnie zauważa Sergiusz Sterna Wachowiak w programie do spektaklu – był i jest nadal prze- i nad – interpretowany. Przypisuje się Gombrowiczowi wiele z tego co nie powiedział, a nawet i rzeczy, których powiedzieć nie mógł, czy nijak nie chciał. Podobnie jest z „Iwoną księżniczką Burgunda”, sztuką w dorobku Gombrowicza ważną, choć w mojej opinii nie decydującą.

Napisana w latach 1934 – 1935, opublikowana w „Skamandrze” w roku 1938 odnosić się może „Iwona” – jeśli się w ogóle odnosi – do II Rzeczypospolitej, w której realiachi powstawała. Tylko przez taki pryzmat można by było ewentualnie „Iwonę” przeświecać. Jeśli zawarli tu Gombrowicz jakiś klucz współczesny, li tylko odnieść się mógł do tworzącego się „zamkowego” ośrodka władzy, który przejąć planował ster państwa ze słabnących dłoni Pierwszego Marszałka. Być może to nie przypadek, że król nosi tu imię ostatniego prezydenta – Ignacego Mościckiego. Nie jest może i przypadkowa złożoność sylwetki królowej Małgorzaty – wszak wiadomo było, iż prezydentowa Mościcka nosiła w sobie zadatki na – jak napisał Dickens w „Naszym wspólnym przyjacielu” – „uczciwy kawałek literata”. To jednak spekulacje, które wobec materii spektaklu noszą znamiona gdybania.

Rzecz jest albowiem o grupie społecznej i jej tolerancji. Czy Filip jest księciem, czy też zwykłym młodym człowiekiem z dobrego domu, nie ulega wątpliwości, że wprowadzenie przezeń Iwony do towarzystwa, w którym się obraca, nosi wszelkie znamiona buntu przeciw zastalym konwenansom. Atoli decydując się na krok tak radykalny, żywi Filip

określone nadzieje. Spodziewa się ukształtować Iwonę, przebudować ją na wzór i podobieństwo idealnej, oczekiwanej przez siebie małżonki. Tu znów odwołać się można do historii i to niedawnej – tak wszak wybiera się, z ludu, małżonki młodych Windsorów w Wielkiej Brytanii. Jakże są skutki wychowania sobie takiej przyszłej królowej – uczy historia księżnej Di.

Upatrzona sobie przez Filipa w szlachetnym celu urobienia materia – Iwona przekształcić się nie daje. Rozczarowany księż rzuca się w ramiona Izy, a do sypialni Iwony zakrada się korowód szekspirowskich postaci w celu zgładzenia niewygodnej i odmiennej zawady, która przestała być atrakcją wieczoru. Gdy wreszcie kres żywotowi Iwony kładą karaski w śmietanie duszone – wiadomo ości dobrze ukryte – wszyscy odychają z ulgą. Ci na scenie, bo pozbyli się problemu, widownia, bo katusze, jakie przechodziła bohaterka wręcz fizycznie doskwiera ją.

Kilka słów o spektaklu i aktorach. Pod reżyserską opieką Tadeusza Bradeckiego powstało przedstawienie pod każdym względem, wręcz akademicko poprawne. Od początku wiadomo było, że Iwonę zagra Bożena Borowska, boć to przecież jej rolę dyplomowa. Zresztą czy ktoś w Nowym mógł tak zagrać Iwonę? Pochwała dla Haliny Skoczyńskiej jako Małgorzaty i Mirosława Kropielnickiego – Filipa. Małe perelki w swoich rolach stworzyli: dawno nie widziana tak czynnie na scenie Agnieszka Różarska jako Iza i Roland Nowak – niezrównany Walenty.

Osobne słowa należą się Zbigniewowi Grochałowi – aktorowi który długo czekał na taką, jak Ignacy – rolę. Jeżeli ktoś tu czuł klimat Gombrowiczowski to przede wszystkim właśnie Zbigniew Grochał. Jeżeli ktoś tu „śmieszył, tumaniał, przestraszał” (by odwołać się do Wieszcza) to przede wszystkim Ignacy. Kreacja to bardzo wyrazista, na miarę odkrycia w zespole kolejnego (którego to już po drodze terazniejszej dyrekcji) aktora wysokiej klasy. Na przeciwnym biegunie zrozumienia Gombrowicza i

uszanowania publiczności znalazł się twórca muzyki do spektaklu. Jeśli się nosi znane w świecie artystycznym nazwisko, to Panie Grzegorz zobowiązuje do innych działań, niż postmodernistyczne drażnienie bębenków ciszą. I to by było na tyle. Dziękujemy za sezon i klasyczny akcent na koniec.

Tomasz DYMACEWSKI

Teatr Nowy w Poznaniu, Iwona księżniczka Burgunda, reżyseria Tadeusz Bradecki, scenografia Jagna Janicka, muzyka Grzegorz Turnau. Premiera 12 maja 2000 r.

foto B. Biegowski





W Teatrze Nowym na Scenie nowej dzieją się ostatnio ciekawe rzeczy. Grywane tu spektakle, również, a może przede wszystkim w tym sezonie są wydarzeniami w skali krytyków. Do takich wydarzeń należy bez wątpienia „Sztuka” Yasminy Rezy. Autorka, zarazem dramatopisarka i aktorka przeżywa w ojczystej Francji okres sporej popularności. Trudno się temu dziwić, gdy dochodzi do spotkania publiczności oko w oko z trójką mężczyzn w średnim wieku, którzy na scenie rozgrywają może mały dla postronnych, dla nich jednak istotny dramat swego życia. Przyjaźń ich wystawiona zostaje na próbę ognia. Właściwiej jednak byłoby rzec – na próbę bieli. Obraz wzięty w pewnych kręgach malarza – Antriosa staje się powodem, dla którego pękają okowy wieloletnich przyzwyczaję i wzajemnej tolerancji. A oto co się stało...

Marc – inżynier aeronauta, Serge – lekarz dermatolog i Yvan – hurtownik branży papierniczej znają się od lat. Może jeszcze ze szkoły średniej? Takie przyjaźnie w niektórych okolicznościach potrafią funkcjonować bardzo długo. Jeśli wpatrzymy się nie tylko w twarze, ale i w myśli (autorka umożliwia nam to) naszych bohaterów, dostrzegamy, że w gruncie rzeczy układ szkolny nadal obowiązuje w grupie tych podstarzałych młodzieńców. Serge wygrał los na loterii. Jest kimś pod względem zawodowym, ale czy jego staranny ubiór i ogólne zblazowanie nie stanowią parawanu wobec beznadziei? Marc – wciąż uważający się za buntownika i rogatą duszę rości sobie prawo do doradzania Serge, a nawet bycia jego mentorem. Czyż nie stara się sam dowartościować? Yvan to życiowy nieudacznik, facet, który zdaje się mieć zwis na wszystko. Znacze takich? Są nam potrzebni jak powietrze, w ich obliczu potrafimy się dowartościować. Tak jak czynią to Marc i Serge. Zatem to układ naczyni połączonych, prywatny świat, do którego nie mają wstępu najbliżsi. Obszar prywatny.

Układ pęka, gdy najpewniejsze, zda się ogniwo – Yvan postanawia zrobić coś ze swoim życiem. Pojawia się narzeczona i psychoterapeuta. Obaj jednakowo ważni. Ta zmiana (możemy się jej domyślać w

nań niebotyczna suma są tylko pretekstem. W rzeczywistości idzie o to, że Serge podjął własną, nie Marca decyzję, że zyskał nowych znajomych, którzy wskazali mu obraz wart kupna. Trzeba przejścia przez mękę, by przyjaciele dokonali wzajemnych ustępstw. Marc za zgodą właściciela obrazu ośpeca płotno flamastrem, po czym zgodnie pracują nad usunięciem szkód. Marc dostrzega to, czego dawniej w „biel” „gównie” dojrzeć nie potrafił. Wszyst-

## Próba bieli

ko wraca więc do normy. Czy rzeczywiście?

Próba bieli przewartościowała akcenty zależności trójki naszych bohaterów. Serge zyskuje nową pozycję w grupie – wie czego nie wie Marc, że flamasty były zmywalne. Marc wmawia sobie, że na obrazie Serge wdać coś, co nie jest czystą sztuką, tylko formą życia. Bo Marc tak samo jak jego przyjaciele jest dyletanem, w świecie sztuki dostrzega tylko poglądy i opinie innych. Co do Yvana, ten przestaje być klasowym głupkiem. Z roli bufora zmienia się w jęczek u wagi. Przyjaciele rywalizują między sobą ubiegając się o jego względy.

Prawdziwa sztuka o prawdziwych namietnościach, lub, jak kto woli o substytutach uczuć, o kodach, którymi posługujemy się w życiu, by zyskać akceptację innych. Tak dobry materiał dramaturgiczny pozwolił trójce aktorów: Ildefonsowi Stachowiakowi (Serge), Maruszowi Puchalskiemu (Marc) i Pawłowi Binkowskiemu (Yvan) stworzyć pełnokrwiste, jakże prawdziwe i w dodatku pełne humoru kreacje. Przede wszystkim zaś są to postaci wiarygodne. Takie, jakie możemy spotkać na ulicy, zaraz po wyjściu z teatru. Bo próba bieli, jaką proponuje nam Yasmina Reza jest przecież próbą życia.

**Teatr Nowy w Poznaniu, Yasmina Reza, Sztuka. Reżyseria Edward Woźtaszek, scenografia Paweł Dobrzycki, muzyka Tomasz Bajerski. Premiera 6 maja 2000 r.**

(dym)

podtekście sztuki) usuwa katalizator spomiędzy Serge i Marca. Stają naprzeciwko siebie i – podejmują walkę. Obraz Antriosa i wydana





# malta 2000

**Dziesiąta edycja Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Malta 2000 zapowiada się niezwykle interesująco – z okazji jubileuszu, organizatorzy zaprosili do Poznania, gwiazdy z różnych zakątków świata, które niejednokrotnie już odwiedzały tę imprezę. Zobaczymy El Teatro del Silencio, Senza Tempo, Sēmola Theatre, Transe Ekspress Circus, Généric Vapeur. Atrakcją muzyczną będzie koncert przeżywających obecnie szczyty popularności, legendarnych kubańskich muzyków z Buena Vista Social Club zatytułowany: „Buena Vista Social Club presents: Ibrahim Ferrer & Ruben Gonzales Feat Omara Portuondo”. W ramach programu „Malta Off”, o nagrodę Offeusza ubiegać się będzie 29 grup teatralnych, a w ramach „Poznania na Malcie” zapoznamy się z nowym projektem Teatru Polskiego „Nowa dramaturgia polska” oraz ostatnimi dokonaniami poznańskich teatrów.**

**28.06. El Teatro del Silencio – Alice Underground** – Teatr gestu i emocji, znany widzom Malty z przedstawienia „Candides” – Cirque Baroque (M'97), wyreżyserowanego przez Mauricia Caledona, późniejszego autora spektaklu „Nanaqui...” (M'98). „Alice Underground”, sztuka powstała na motywach „Alicji w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla to „diaboliczny taniec u wrót pamięci”, podróż w podświadomość, podczas której bohaterka zastanawia się nad kondycją własną i całego współczesnego świata.

**29.06. Renovatio Imperii Romano – Orszak dla Ottona III – Asocjacja Kółka Graniastego** – Parada nawiązująca do wydarzenia sprzed 1000 lat, kiedy to cesarz Otton III spotkał się z polskim księciem Polan Bolesławem Chrobrym. Z okazji Dnia Patronów Poznania Stare Miasto wypełnią tego dnia postaci i symbole odwołujące do idei jedności Europy.

**2000 Uderzeń – Lächer de violons – Zbigniew Łowżył i Transe Express**

Wielki międzynarodowy projekt, skupiający 2000 perkusistów z 40 miast Europy, gdzie w każdym z miast spotyka się 50 miejscowych muzyków. W Poznaniu, artyści zagrają na beczkach, kilku odmiannach bębnow i 15 dwusmyczkowych wiolonczelach. Parada dojdzie na plac Mickiewicza, tam artyści Transe Express wykonają nad głowami widzów podniebną muzykę Didiera Capelle'a i Etienne'a Roche'a

**2001. Dziecko gwiazd – Lech Raczak** – Dyrektor Artystyczny festiwalu tym razem przygotował widowisko oparte na motywach książki Artura C. Clarke'a „2001. Odyseja kosmiczna” przedstawiające lot na Saturna. Spektakl pełen jest akrobacji cyrkowych, sztucznych ogni, trików wideo i efektów świetlnych a towarzyszą mu na żywo wykonywane songi.

**Senza Tempo – „Zahories”** – Senza Tempo pragną swym teatrem „uwodzić, poruszać i prowokować” Na M'98 mieliśmy możliwość obejrzenia „Lazurd”, środkową część „Trylogii wody”, na tegorocznym festiwalu zobaczymy część trzecią, „Zahories” która ma być spektaklem o pustynnienu, spojrzeniem wstecz, nad którym przepłylnie woda.

**Teatr Montownia – „Historia o Raju Utraconym, czyli... będzie lepiej”** – Montownia to teatr młody, choć mający już na swym koncie 8 premier. W spektaklu przygotowanym na Malcie jego artyści zmerzą się po raz pierwszy z przestrzenią otwartą. Bohaterowie przedstawienia podróżują po różnych zakątkach świata, w poszukiwaniu utraconego Edenu w rytmie muzyki granej przez zespół Komorany.

**Teatr Usta Usta i Porywacze Ciał – „Sztuczne oddychanie”** – Porywacze Ciał to teatr nowoczesny, opowiadający o zjawiskach i przemianach kulturowych współczesnego świata. Marcin Lieber, wcześniej aktor Biura Podróży, mający za sobą dwa przedstawienia autorskie, w marcu br. założył własny teatr - Usta Usta. Artyści współpracują ze sobą od 5 lat. Na tegorocznej Malcie wystawią razem premierowe przedstawienie plenerowe, którego bohaterką będzie sztucznie wykreowana gwiazda - Anok-sja Pluwał.

**30.06. Battery Dance Company – „Zero... Two... Blue...Heaven...Seven”, „4-Way Intersection”, „Layapriya”** – Jonathan Hollander, założyciel zespołu, który po raz pierwszy odwiedził Malte, jest twórcą ponad 50 choreografii, charakteryzujących się innowacyjnym połączeniem klasycznego baletu i tańca ludowego. „4-Way...” opowiada o życiu 4 mieszkańców miasta w różnych porach dnia, „Zero...” to odmienne nastroje – hoła hoop, tango, walc, dziecięce zabawy, przechadzka po lesie. W „Layapriya” (z sanskrytu: rytm) tancerze poddają się zupełnie brzmieniu rytmu.

**Plasticiens Volants – „Ngalyod”** – Dwukrotnie już oklaskiwani na festiwalu (M'93 i M'96) Plasticiens Volants, tym razem odwiedzą Poznań ze spektaklem przygotowanym w Australii, „Ngalyod”. Tytuł przedstawie-

nia wywodzi się z kultury Aborygenów i oznacza Tęczowego Węża, wielkiego kreatora świata, który, gdy go rozgniewać, może być także okrutnym niszczycielem.

#### **Theatre En Vol – „Orme”, „Macchin...azione”**

Założony w 1989 roku Theatre En Vol, odwiedził przed sześcioma laty maltański festiwal, ze spektaklem „Tam, w górze skrzydła nie rdzewieją”, a ubiegłoroczną Maltę z „Orme”. W „Macchin...azione”, twórca tajemniczej maszyny będzie prezentował swe dzieło na ulicach Poznania. Co odważniejszym pozwoli zapoznać się z nią osobiście...

**Sēmola Theatre – „Pas a Nivell”** – Artysty grupy, wywodzącej się z „kręgu katońskiego” pasjonują się tematem postindustrialnej cywilizacji, dekonstruując tym samym współczesne wizje świata. Akcja „Pas a Nivell” rozgrywa się na przejeździe kolejowym, kiedy w pewnym momencie widać tylko srebrną linię. Okazuje się, że jest ona granicą między dwoma różnymi światami.

**Akademia Ruchu – „Heide Park” „Przychodnia. Exit”** – Akcje istniejącej od 1973 r. Akademii Ruchu znane są z plastycznej interwencji w codzienność i powszechność przestrzeni miasta. „Przychodnia. Exit” to spektakl, eksponujący narzędzia, którymi posługuje się człowiek w celu zdobycia przewagi nad innymi, czyli Pieniądże i Strach. „Heide Park” (01.07) stawia pytania o kodeks wartości determinujących ludzkie działania i próbuje wyodrębnić zachowania człowieka z systemu znaków przyjętego dla fikcyjnej rzeczywistości.

**01.07. Unia Teatr Niemożliwy – „Kosiarz III – rzecz o tolerancji”** – Aktorzy teatru lalek dla dorosłych, zdobywcy ubiegłorocznego Offeusa – za „czarny” spektakl inspirowany twórczością Rolanda Topora, na jubileuszową Maltę przygotowali przedstawienie premirowe, którego treści postanowili nie zdradzać.

#### **02.07. Sandimay – „Death – Purification – Birth”**

– Po raz pierwszy na festiwal przybywają goście z Turcji, i to z pierwszego w historii tego kraju teatru ulicznego. Sandimay czerpie inspirację z kul-

tury półwyspu anatolijskiego, z jego tańców, mitów i rytuałów. W swym najnowszym przedstawieniu ukażą nam przejawy kultury Anatolii ubranej we współczesne formy.

**Femina – Cogitatur** – Podstawą działań istniejącego od 1981 r. Cogitatur są ćwiczenia wypracowane przez Teatr Laboratorium Jerzego Grotowskiego. Femina to przedstawienie autorskie Marcina Hericha ukazujące metaforyczną historię życia kobiety, poczynając od jej narodzenia aż do śmierci. Inspiracją dla powstania sztuki było malarstwo i grafika symboliczna oraz książka francuskiego antropologa Jacquesa Ruffie „Seks i śmierć”.

**Wielki finał: Statek – latarnia – Généric Vapeur** Doskonale znana widzom Malty, specjalizująca się w aranżowaniu jednorazowych akcji grupa „szaleńców z Marsylii” przygotowuje na finał festiwalu „Statek – latarnia”. Na torze regatowym powstanie nawodna osada, zbudowana z połączonych kładką stateczków. Idyllę na wodzie przerwie wielka burza, której skutków nie są w stanie przewidzieć nawet sami artyści...





# III-letnie studia licencjackie

punkt rekrutacyjny: 80-867 Poznań  
ul. Norwida 14  
tel. 84-84-300  
84-84-299  
84-84-298



## wiedza i umiejętności



**kierunek:**

**Dziennikarstwo  
i Komunikacja  
Społeczna**

**specjalność:**

● komunikacja  
społeczna

**kierunek:**

**Marketing  
i Zarządzanie**

**specjalności:**

● negocjator

● menedżer  
public relations

● menedżer  
mediów

● menedżer  
promocji

● menedżer  
kultury